Nr. 178. Lwów — Piątek dnia 6 Sierpnia. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z ... wynosi:
w kraju i w Austr... 10 ct.
w Niemczech ... 60 „
w innych państwach ... — „
Za zmianę adresu ... się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 3 „
tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . . 20 ct.
Ogłoszenia do *Przeglądu* przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: 5	Przem. Pańskie	Usp ś. Anny	Adres Redakcyi i Administracyi	Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*	Wschód słońca o 4 m. 48	Długość dnia g. 14 m. 34
Jutro: 6	św. Kajetana W.	Jermołaja	Ulica Sykstuska l. 45.		Zachód „ „ 7 „ 22	Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 5 sierpnia.

Wczoraj wsiadł cesarz Wilhelm w Kilonii na swój jacht „Hohenzollern“ i wyruszył w drogę do Petersburga. Podróż tę odbywa władzca Niemiec z wielką okazałością i przedstawi Rosyanom w zatoce kronsztadzkiej potęgę morską Niemiec na morzu Bałtyckiem. Jachtowi cesarskiemu towarzyszy bowiem kilkanaście wspaniałych pancerników z załogą 4.500 ludzi. Cała prasa rosyjska przypisuje tym odwiedzinom bardzo doniosłe znaczenie z tego powodu, iż wpłyną one, zdaniem dzienników rosyjskich, na rychłe i szczęśliwe zakończenie rokowań pokojowych w Konstantynopolu. Zapatrując się jednak na tę wizytę wyłącznie z tego stanowiska, zapomina prasa rosyjska o tem, że jeszcze inne, nierównie większe znaczenie mają te odwiedziny. Będą one bowiem poniekąd uzupełnieniem wiosennej podróży Cesarza Franciszka Józefa do Petersburga. Podróż owa monarchy austryackiego zmieniła do pewnego stopnia wzajemny stosunek mocarstw. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Sojusz austryacko-niemiecki, z którego wytworzyło się później trójprzymierze, powstał początkowo głównie celem uchronienia Austryi lub Niemiec od możliwego napadu Rosyi. Zarówno Austrya jak Niemcy były wówczas w naprężonych stosunkach z Rosyą, stąd też mogło wytworzyć się mylne mniemanie, że sojusz ten, wzmocniony w dalszym ciągu przez przystąpienie doń Włoch, zagraża pokojowi europejskiemu, podczas gdy w istocie był on jego najsilniejszą podporą. Zwłaszcza opinia publiczna w Rosyi nie dowierzała trójprzymierzu, a także w niektórych państwach Europy powszechnem było mniemanie, że prędzej czy później musi przyjść do wybuchu, gdyż interesa Austryi i Rosyi na Wschodzie żadną miarą nie dadzą się pogodzić.

Rezultat podróży Cesarza Franciszka Józefa wprawił wszystkich w zdumienie. Pokazało się naraz, że dawni antagoniści przecież mogli się porozumieć w tej kwestyi, która zawsze ich dzieliła. Austrya i Rosya w zupełnej zgodzie zabrały głos w kwestyi wschodniej, a słynne depesze hr. Gołuchowskiego i hr. Murawiewa przekonały polityków bałkańskich, że nie mają co liczyć więcej na rywalizacyę Austryi i Rosyi na Wschodzie. Jak poprzednio powstanie trójprzymierza, tak i teraz ten ścisły stosunek, który wytworzył się między Austryą a Rosyą, całkiem mylnie tłumaczono sobie w Paryżu. Prasa tamtejsza powitała podróż Cesarza Franciszka Józefa jako zapowiedź nowej ery i przepowiadała zupełny upadek trójprzymierza a powstanie sojuszu francusko-rosyjsko-austryackiego. Zapalni, jak zwykle, Francuzi chwytali się byle jakiego pozoru, aby dojść do upragnionej konkluzyi, że stosunek między Niemcami a Rosyą jest naprężony, że cesarstwo niemieckie jest już prawie odosobnione, a trójprzymierze faktycznie już jakby nie istniało.

Wszystkie te mrzonki rozwieje podróż obecna cesarza Wilhelma. Trójprzymierze nie przeszkadza bynajmniej dobrym stosunkom między Niemcami a Rosyą. Marzyciele francuscy w takim razie mogliby się łudzić pod tym względem, gdyby podróż cesarza Wilhelma do Rosyi przypadła na czas, gdy istniał jeszcze naprężony stosunek między Austryą a Rosyą, w dzisiejszych jednak stosunkach muszą pogrzebać swoje nadzieje, zobaczą bowiem, że i trójprzymierze stoi nadal silnie i każdy z jego uczestników stoi na przyjacielskiej stopie z Rosyą. Dla tego też podróż obecna cesarza niemieckiego zrównoważy zupełnie następną wizytę prezydenta republiki francuskiej. Choćby go Rosyanie nie wiedzieć jak entuzyastycznie przyjmowali, w Berlinie nikt się tem nie zaniepokoi, bo wszyscy wiedzą, że dopóki Rosya żyje w przyjaźni z trójprzymierzem, trzymać będzie Francyę na wodzy i ostudzać jej zapędy odwetowe.

Od wielu lat jest Tyrol widownią zaciętych sporów narodowościowych. Mieszkańcy włoskiej części tej prowincyi, t. j. okręgu trydenckiego, nie zadawalają się tą autonomią, jaką dziś posiadają, lecz dążą do zupełnego oderwania się od niemieckiej części Tyrolu. Dotychczas stawiali posłowie włoscy żądanie, aby z włoskiej części Tyrolu utworzono samoistny okręg administracyjny z własnym sejmem i własnym rządem krajowym z siedzibą w Trydencie i aby przeprzeć te swoje żądania, chwytają się od kilku lat już polityki abstynencyjnej, t. j. nie brania udziału w obradach sejmowych. Trwa to już dosyć długo, — nie ma atoli szans, by żądanie Włochów mogło być urzeczywistnione. Przed kilku tygodniami reprezentanci ludności włoskiej odbyli naradę i postanowili zredukować nieco swoje żądania. Wypracowali więc i przedłożyli prezydentowi gabinetu hr. Badeniemu projekt zmiany autonomii Tyrolu. Wedle tego projektu jednolitość Tyrolu zostaje w teoryi utrzymana, a mimo to Włosi dostaliby wszystko, czego żądają. Sejm tyrolski ma bowiem być jeden i jak dotąd, tak i nadal rezydować ma w Insbruku, wszelako projektodawcy dzielą go na dwie kurye: niemiecką i włoską. Każda z tych kuryi załatwiać ma sprawy odnoszące się do swojej części kraju, nakładać może dodatki krajowe i uchwalać potrzebne ustawy. Ustawa krajowa, uchwalona przez każdą z tych kuryi, może uzyskać sankcyę cesarską, jeżeli druga kurya na to się zgodzi. W razie sporu o to, czy jakaś sprawa należy do zakresu działania kuryi niemieckiej czy też włoskiej, decydować ma rada przyboczna, złożona z reprezentantów obu kuryi, a jeżeli ona nie może się zgodzić, wówczas rozstrzyga trybunał państwowy. Wreszcie proponowali posłowie włoscy, aby Wydział krajowy podzielono na dwie sekcye: niemiecka ma mieć swą siedzibę w Insbruku, a włoska w Trydencie.

Otóż tymi dniami zapadła decyzya rządu w tej sprawie. — Rząd odrzucił w całości propozycyę posłów włoskich, a namiestnik Tyrolu hr. Merveldt z polecenia prezesa gabinetu zaprosił do siebie tych posłów i odczytał im deklaracyę wyjaśniającą powody, dla których rząd powziął odmowną decyzyę. Przedewszystkiem opiera się rząd na tem stanowisku, że jednolitość prowincyi tyrolskiej musi być bezwarunkowo utrzymana, gdyż dzielenie wedle narodowych granic takich terytoryów, które się wytworzyły historycznie, jak królestwa i kraje stanowiące monarchię austryacką, mogłoby także po za granicami Tyrolu wywołać następstwa, za które rząd nie mógłby przyjąć odpowiedzialności.

Ten motyw stawia rząd na pierwszem miejscu i rzeczywiście jest on najważniejszym. Podział Tyrolu na dwie odrębne prowincye, czy też dwa odrębne okręgi administracyjne, co ostatecznie na jedno wyjdzie, byłby niebezpiecznym precedensem, bo zachęciłby także ludność innych prowincyi do stawiania podobnych żądań. W pierwszym rzędzie wchodzą tu w rachubę Czechy. Niemcy czescy niczego tak gorąco nie pragną, jak utworzenia t. z. zamkniętych terytoryów językowych w Czechach, co chociaż w mowie brzmi dosyć niewinnie, w rzeczywistości byłoby podziałem Czech na dwie prowincye. Gdyby Włochom przyznano to, czego oni w swym projekcie żądają, nie byłoby tem samem podstawy do odrzucania propozycyi niemieckiej. I w naszym kraju przyjęcie propozycyi włoskiej zaostrzyłoby apetyt ruskich separatystów i ośmieliło ich do stawiania żądań niemożliwych do spełnienia, podziału Galicyi wzdłuż Sanu. Jakby to zawichrzyło nasze i tak nie bardzo idealne stosunki, pojmie każdy. Stanowcze zatem odrzucenie żądań włoskich przez rząd jest aktem ze wszech miar pochwały godnym. Inne motywa, które wpłynęły na decyzyę rządu są natury bardziej praktycznej. I tak zwrócił hr. Badeni uwagę reprezentantów włoskich na to, że w czasach takich jak obecne, w których tak wielkie wymagania stawia się do państwa i do krajów, odłączenie tak małego okręgu jak włoska część Tyrolu, bogatsza w potrzeby aniżeli w środki finansowe, szkodę tylko przyniosłoby jej mieszkańcom, gdyż włoski Tyrol, zdany na własne siły, nie mógłby na polu ekonomicznem dotrzymać kroku zosobniejszej części niemieckiej.

Wreszcie wskazał hr. Badeni także i na to, że w razie przyjęcia projektu autonomistów włoskich Sejm tyrolski stałby się tylko pozorną instytucyą nie mającą właściwie żadnego znaczenia. Zastrzeżenie, że sankcya ustaw uchwalonych przez jedną kuryę zależna jest od zezwolenia drugiej, właściwie nic nie znaczy. Zezwolenie to byłoby czczą formalnością, dla czegóżby by bowiem np. kurya niemiecka miała nie zezwolić na sankcyę ustawy, która obowiązywać będzie tylko we włoskiej części Tyrolu i której koszta poniosą w całości mieszkańcy tej włoskiej części. To, że Sejm obradować ma w Insbruku, także nie zapobiegłoby podziałowi kraju, bo już po bardzo krótkim czasie pokazałoby się, że wprost niepodobieństwem jest, ażeby włoska kurya sejmowa funkcyonowała w Insbruku, zaś włoska sekcya Wydziału krajowego z całym aparatem urzędniczym w Trydencie. W rezultacie więc jednolity sejm tyrolski już po kilku latach stałby się tylko wspomnieniem historycznem.

Listy ekonomiczne.

Wiedeń, 31 lipca.

Omyłka statystyczna i próby jej rozwiązania. — Nowe ustępstwo dla Węgier. — Podatek cukrowy i konsumenci.

Od kilku dni dość ciekawa kwestya zajmywała umysły różnych finansistów i statystyków. Oto półroczny wykaz banku austro-węgierskiego stwierdzał powiększenie zasobów złota w piwnicach bankowych za pierwszych 6 miesięcy 1897 o jakich 59,000.000 złr., podczas gdy wykaz statystyki urzędowej dowozu i wywozu zaznaczał za pierwsze półrocze 1897 import złota 43.720,000 a eksport 8.400,000 złr., a więc nadwyżkę importu sięgającą tylko 35,320.000.

Skąd bank wziął tyle złota? Z porównania cyfry 59,000.000 z cyfrą 35,320.000 wypada, że bank 24,000 000 złota więcej nabył, niż wpłynęło do monarchii. Kwestya teraz znalazła najprostsze swe wyjaśnienie w tem, że urząd statystyczny odkrył omyłkę w obliczaniu wartości złota dowiezionego w sztabach i że ostatecznie okazała się nadwyżka importu nad eksport złota w kwocie 55,580.000 złr. Ale ciekawe są tłómaczenia, które wyczytaliśmy przed tem ostatecznem rozwiązaniem zagadki. W pierwszym rzędzie przypuszczano, że ministrowie obu rządów oddawali zapewnie bankom prywatnym złoto a banki te odsprzedawały je bankowi austro-węgierskiemu. Ta fantazya jakiegoś pomysłowego finansisty nie mogła znaleść wiary, bo nikt nie rozumiał, dlaczego rządy wprost bankowi nie oddawały złota. Że mu zaś wprost go nie dały, było znanem.

Dalej urzędnik banku, zastępca generalnego sekretarza, Prangner, wpadł na myśl, że zapewnie importerzy złota otrzymywali przesyłki niżej zabezpieczone w razie zaginięcia podczas transportu i że stąd wynikła niższa suma w wykazach statystycznych. W rzeczy samej praktykuje się czasem przy przesyłkach towarów metodę niższego oznaczania wartości, ale jest to chyba sposób zbyt niebezpieczny przy przesyłkach złota. Wreszcie domyślono się, że rządy oba przygotowawszy dla kuponów renty za wiele złota w r. 1896, puściły kruszec w obieg w pierwszej połowie roku.

A więc rządy o 24,000.000 więcej przygotować miały złota, niż potrzebowały, a potem złoto to na łaskę bankierów prywatnych puścić miały w świat!? W sądach tych wszystkich okazuje się cała nieudolność rozstrzygania najdrobniejszej zawiłości, jeśli dotyczy ona — złota. Dla niektórych ekonomistów złoto jest czemś tak wyjątkowo — cennem, że wobec tego kruszcu wszelka ustaje logika, wszelkie zrozumienie najpierwszych zasad interesu. Możliwem się im wydaje, że rządy po 20 i więcej milionów za wiele skupują, byle nie narazić się na brak 2—3 milionów w danej chwili — (choć przecież procent 1—2 miesięczny od 20 milionów jest tak wielki, że każdy bankier objąłby za ¼ tego procentu gwarancyę za wypłatę rządu); możliwemi się im wydają transakcye rządowe z prywatnymi bankami, które mennicy daleko wyższą płacą należytość za wybijanie złota, niż bank austro-węgierski, — możliwem wydaje się tym komentatorom wszystko...

Szkoda, że nie wytłómaczono, z jakiemi bankami układał się rząd węgierski a z jakiemi austryacki. Mamy bowiem grupę budapeszteńską (mocno — co prawda — zawisłą od Wiednia) i grupę wiedeńską, mamy kredyt specyficznie austryacki i specyficznie węgierski; emulacya między potentatami finansowymi z tej i tamtej strony Litawy ustać nie chce.

A ministrowie węgierscy wszystko robią, aby różnice złagodzić. Przedewszystkiem Węgrzy usiłują jak najwięcej pożyczyć sobie w Austryi, nie w drodze subskrypcyi, do której dopuszcza się nieraz chętniej bankierów niemieckich, niż austryackich, ale prostem sprzedawaniem papierów na targu austryackim. Doskonały to środek zbliżenia obu państw. Wierzyciel zawsze życzy dłużnikowi jak najlepszego zdrowia! Najnowszym środkiem ułatwienia zbytu rent węgierskich w Austryi ma być wywalczenie dla nich wolności od podatku rentowego (2%). W zamian za to zobowiążą się Węgry na renty austryackie nie nakładać także podatku.

Teoretycznie zachowuje się więc wszelkie pozory równych praw dla poddanych obu państw. W praktyce jednak wygląda to całkiem inaczej. Do Węgier austryacka renta bardzo mało chyba wędruje, w Austryi natomiast znaczne sumy lokuje się w papierach węgierskich, a niższy ich nieco kurs przy tem samem oprocentowaniu czyni je ulubionemi papierami lokacyjnemi dla małych kapitalistów, dla ludzi szukających odpowiedniego umieszczenia swych oszczędności. Znowu więc Austrya coś dać by miała, za co kompensaty nie otrzyma. Z wyższego stanowiska polityki nierozerwalnego związku obu państw tłómaczyć można wszystko, ale o to stanowisko w Węgrzech mało bardzo dbają.

Niesnaski w parlamencie, które i w Budapeszcie są na porządku dziennym i to byle o co, wiążą węgierskiemu rządowi ręce nawet tam, gdzie on sam uznaje słuszność ustępstw wobec Austryi. Dzięki tym niesnaskom nie można było przedłużyć ustawy o wyższem opodatkowaniu cukru (13 złr. zamiast 11 złr. za centnar) i podwyższeniu premii wywozowych (z 5 na 9 milionów), której moc obowiązująca kończy się z dniem dzisiejszym. Przemysłowcy cukrowi mimo to w cyrkularzach rozesłanych obowiązują handlarzy do sprzedawania cukru na zasadzie podatku 13 złr., „gdyż ustawa zostanie uchwaloną i podatek od 1 sierpnia 1897 ściągany będzie“. A jeśli ustawy nie uchwali się? To konsumenci tymczasem niech płacą sobie 2 złr. więcej, handlarzom i fabrykantom to nic nie zaszkodzi!

Echa z wód.

Karlsbad, w lipcu.

Kto po raz pierwszy gości w Karlsbadzie, ten nie może się oswoić z widokiem niezliczonego mnóstwa ludzi, jakich tu co dzień ogląda, a za każdym prawie razem innych. Podobno jednak w tym roku mniej jest kuracyuszy, niż zazwyczaj. Z uderzeniem godziny szóstej z rana, na komendę muzyki, wyrusza do źródła olbrzymiej długości zastęp ludzi, mających kubki szklane przewieszone na rzemiennym pasku przez ramię. Najwięcej uczęszczany jest Mühlbrun, najmniej Sprudel. Do bardzo silnych i gorących zalicza się Felsenquelle, z którego cierpiący kuracyusze krzywią się niemiłosiernie i piją z głębokim namysłem, chodząc, stojąc, przysiadając, stękając. Ale to źródło nie ma wielkiego powodzenia, słabsi dostają zawrotów głowy.

Na kurliście, począwszy od 20 czerwca, czytamy po Niemcach najwięcej nazwisk polskich (nb. z Warszawy) i amerykańskich.

Wyróżniają się wśród tutejszej publiczności dzieci angielskie — strojem, urodą i hałaśliwością. Te śliczne istotki nic sobie z nikogo i niczego nie robią, gwiżdżą, podskakują, zaczepiają ludzi i zwierzęta. Poubierane ślicznie, twarzyczki pucołowate, różowe i ładne. Starsze *misses* elegancko, ale nadzwyczaj skromnie poubierane, uzbrojone w laseczki, spacerują z powagą najchętniej dopiero o zmierzchu, gdy Karlsbad do snu się układa. Doktorzy, w liczbie przeszło stu, obleżeni przez pacyentów. Nie tak szczęśliwi są właściciele sklepów, stale samotni. Oglądających wystawy przesuwa się mnóstwo, bo nie podobna oprzeć się chęci, takie piękności nagromadzono w oknach, ale oszczędność, czy też brak gotówki, wreszcie szalona drożyzna zniechęcają do kupna. Jeden tylko sklep, zapewne z tandetą, gdzie większość przedmiotów sprzedają po guldenie, ma powodzenie. Amatorzy strawy duchowej uczęszczają do czytelni w kurhausie na piętrze, wygodnie urządzonej. Trzy sale, jedna przeznaczona dla palących, druga dla dam, środkowa, największa, ogólna, gdzie są pisma. Polskich tylko 4; rosyjskich 7, niemieckich 43, szwedzkich 2, norweskich 2, rumuńskie 1, francuskich 8, angielskich 10, amerykańskich 3, holenderskie 1, włoskie 1, hiszpańskie 1, duńskie 1. W pokoju dla palących mieści się szafa z książkami, szczelnie zamknięta, na niej w górze złocony napis: *Bibliothek Mickiewicz.* Woźny ma do niej klucz, którym chętnie szafę otwiera, katalog pokazuje, stoi jak Cerber nad czytającym, wreszcie zniecierpliwiony niezdecydowaniem gościa, powierza mu z całem zaufaniem katalog, szafę zamyka, odchodzi i zabiera klucz. A więc zaufanie nie kompletne. Z katalogu dowiaduję się, że w zamkniętej szafie mieści się 153 tomów niemieckich dzieł, tłómaczonych z różnych autorów, pomiędzy innemi utwory: „Konrad Wallenrod“, „Pan Tadeusz“, „Dziady“, „Grażyna“, „Farys“, „Alpuhara“, „Marya“ Malczewskiego, „Lilla Weneda“, powieści: Kraszewskiego, Orzeszkowej, Sienkiewicza, „*Zwei Polen in Weimar 1829*“ przez Bratranka; „*Der Patriotismus in Polen*“ przez Izydora hr. Dzie-

---

5)

DO IDEAŁU.

POWIEŚĆ

przez

DE TINSEAU.

(Ciąg dalszy).

Podczas tej rozmowy przejechano przez most, rzucony ponad strumykiem, ujętym między dwa rzędy sztucznych skał, które przy zjeździe z mostu tworzyły załom z rodzajem dość głębokiej groty, gdzie można się było schronić w czasie upału lub deszczu. Z mostu ta grota nie była widzialną, więc też Adryan z Bernardem, znalazłszy się wprost wejścia do niej, spostrzegli dopiero jej wnętrze i znajdujące się tam poważne zgromadzenie. Na wyplatanym fotelu ogrodowym siedziała panienka, szczupła, średniego wzrostu, rumiana blondyneczka o niebieskich oczach i spojrzeniu Mignony, a może pół tuzina wiejskich dziewcząt z najwyższem zajęciem słuchało tego, co do nich mówiła.

Adryan zatrzymał konie i zwrócił się do niej z odkrytą głową, ale nie wysiadłszy z kabryoletu.

— Dzień dobry pani, panno Ludwiko! Powracamy od matki pani, której przedstawiłem mego przyjaciela, pana de Louarn, a teraz pozwoli pani, że go jej przedstawię z kolei.

Ludwika Montgodefroy, nie podnosząc się z fotelu, odpowiedziała na ukłon Bernarda wdzięcznem skinieniem głowy, ze spokojem, lecz bez najmniejszego zakłopotania, dając równocześnie znak dziewczątkom, aby stały spokojnie przy obcych. Wszystko to nie miało bynajmniej cechy podlotka i nie zgadzało się z ojcowskim prawie tonem, jakim Adryan zapytał:

— Pani ma dzisiaj rekreacyę?

— Tak, panie, jeśli to jest rekreacyą, gdy się pracuje z drugimi — odpowiedziała, a głos jej spokojny miał brzmienie głębokie.

— Czy można zapytać, co im pani wykłada?

— Katechizm.

— To przedmiot wcale nie trudny.

— Tak pan sądzisz? Moje uczennice inaczej jednak myślą, i inni, dojrzalsi ludzie, również nie są tego zdania.

— Nie chcę dłużej przeszkadzać pani; zresztą zobaczymy się w niedzielę. Pani Montgodefroy mię zaprosiła.

W niebieskich oczach mignęło jakieś światełko nieokreślonej natury, kabryolet potoczył się dalej, a młoda nauczycielka powróciła do swego zadania. Ale była teraz roztargniona i niejeden gruby błąd w odpowiedziach uczennic uszedł jej uwagi.

— Jakaż to miluchna panienka! — mówił tymczasem Bernard do przyjaciela. — Ile ona może mieć lat?

— Nie umiem ci powiedzieć — rzekł Adryan. — Przez kilka lat miała czternaście, ale widzę, że nareszcie zdecydowano się dać jej długą suknię... Przy takiej matce, jak pani Marta, nie wiem, czy ona dojdzie do lat ośmnastu w bieżącym wieku.

— Ty jej nie pomagasz do tego — rzekł, śmiejąc się, de Louarn — traktujesz ją, jak pensyonarkę.

— Cóż chcesz? ona ma jeszcze nauczycielkę i wyprawiają ją regularnie o pół do dziesiątej z salonu, pod pozorem, że dzisiejsze rozmowy nie są dla dzieci.

— Biedna! nie wygląda wcale, aby była szczęśliwą.

— Gdy się przypatrzysz młodym dziewczętom w Paryżu, mój kochany, to porachujesz na palcach takie, któreby się zdawały „bardzo szczęśliwemi“. To też w moich oczach świat czarno się przedstawia.

— Och! niech ci się nie zdaje, że na prowincyi inaczej się dzieje. Moja siostra, naprzykład, tak zawsze wygląda, jakby jej nie wiem co ciężyło na sercu.

— Czy uwierzysz, że ja bardzo mało znam twoją siostrę — rzekł Adryan. — Poznałem ją, gdy była małą dziewczynką, a ja wyrostkiem... i na tem skończyła się nasza znajomość. Jak wiesz, nasze fabryki w Couerons leżały o dziesięć mil drogi od waszego dworu w Bout-du-Bois, a nie było tam wtedy kolei.

— Przepędzaliśmy zawsze zimę w Nantes, mogłeś do nas przyjechać.

— Przepraszam! wasz ród sięga wojen krzyżowych, a mój dziad był płatnerzem w arsenale w Lorient; ja zaś mam szacunek dla hierarchii rodowej.

— A to zabawne!... Ale teraz nie jesteśmy w Bretanii i wkrótce pewno spotkasz się z moim ojcem i moją siostrą. Biedna Antonina! takbym rad, aby się trochę rozerwała... Ale powiedzno, wszakże ta młoda osoba, któąśmy spotkali, to jedynaczka?

— A jakże? Będzie ona kiedyś bogatą, gdyż oprócz milionów ojcowskich, czeka ją jeszcze majątek wuja jej matki, pana de Villegarde, który pozostał kawalerem.

— Szczęśliwcze! — zawołał Fernand pół żartem, ale wraz zamilkł i pogrążył się w głębokiem zamyśleniu

ROZDZIAŁ III.

Gdy w następną niedzielę Adryan La Houssaye wszedł do hali w Saint-Urbain, pierwszym, kogo tam napotkał, był Fernand de Louarn.

— Cóż to? — zapytał, znalazłszy się z nim nieco na uboczu. — Znalazłeś czas, jak widzę. Wdzięki pani Marty zrobiły swoje.

— Nie naigrawaj się ze swojej ofiary! — odparł młodzieniec. — Wiem teraz wszystko i nie dziwię się, że popadłeś w niełaskę. Okrutniku!... nie chciałeś domyślić się w swoim czasie, że „sąsiad“ mógł zostać czem więcej, niż sąsiadem.

— O, to wiadoma bajka. Założę się, że byłeś w ciągu tego tygodnia u hrabiny de Cramans, która ją wymyśliła. Ona o każdym znajdzie coś do powiedzenia. Musiałeś od niej słyszeć zapewne, że Montgodefroy opłaca rocznie pewien podatek anarchistom, żeby go nie wysadzili w powietrze dynamitem.

— Pierwsza bajka wydaje mi się bardziej wiarogodną, niż druga. To pewna tylko, że pan Montgodefroy jest bardzo miłym i gościnnym; zaprosił mię już na wszystkie polowania u siebie.

— Winszuję ci, bo w jego lasach jest dużo zwierzyny, ale strzeż się, aby gospodarz cię nie postrzelił, gdyż to mu się często trafia... Czy już wszystkim zostałeś przedstawiony? Towarzystwo, zdaje mi się, jest w komplecie.

— Brak tylko panny Ludwiki.

— Ona przyjdzie wtedy dopiero, gdy będziemy siadali do stołu. Jak znajdujesz Bomassina, który nie odstępuje pani Marty?

— Myślę, że obecność podobnego indywiduum przynosi ujmę porządnemu domowi.

— Szczęściem znajduje się tu człowiek zdolny go rehabilitować, patrz ten, który wchodzi z Ludwiką. Jesto markiz de Villegarde; pyszny typ, mój typ właśnie.

Uznanie musiało być wzajemnem, gdyż markiz, spostrzegłszy Adryana, pośpieszył do niego i serdecznie uścisnął mu rękę.

— Jesteś przecie zawzięty odludku! Jakiż to wiatr przypędził cię aż do Saint-Urbain?

— Ten wiatr zawsze mię tam skieruje, gdzie mogę spotkać pana, panie markizie. Polecam też łaskawym względom pańskim pana Bernarda de Louarn, który, jak ja pochodzi z Bretanii.

— Panie poruczniku — rzekł markiz — miło mi jest poznać pana za pośrednictwem pana La Houssaye. Dobrze pan wybierasz swoich przyjaciół; nie wszyscy to umieją.

Głos markiza, spokojny, lecz dobitny, nie przebrzmiewał nigdy niepostrzeżenie. Osoba jego posiadała tę samą właściwość, lubo markiz ujmował raczej ludzi, zamiast im imponować. Wysoki wzrost i piękna budowa, twarz, nosząca wybitną cechę szlachetnego pochodzenia, kontrast prawie zawsze korzystny białych włosów z gęstemi blond wąsami muszkietera, złożyły się w Ferrolu de Villegarde na śliczny typ prawdziwej francuskiej dystynkcyi, obok braku wszelkiej pychy i próżności.

Panowie podali ramię paniom, obok których mieli zasiąść przy stole. Pani Marta zostawiła dla siebie porucznika, który sam jeden obcym był w tem towarzystwie. Jej mąż miał zasiąść przy wiadomej pani de Cramans, posiadającej niewielki majątek i ogromną złośliwość. Nie cierpiała ona państwa Montgodefroy, nie gardziła jednak ich dobremi obiadami, pocieszając się przytem mocno problematyczną nadzieją, że jej córka, bardzo brzydka, spotka może w ich domu przeznaczonego sobie od losu małżonka. Panna de Cramans z nauczycielką Ludwiki i Thomassinem zajmowali jeden róg stołu. Naprzeciwko nich markiz z Adryanem i Ludwiką, zadowoleni, że się znaleźli razem, rozmawiali z ożywieniem, wyłącznie sobą zajęci.

Wśród reszty towarzystwa toczyła się ogólna rozmowa, którą mroziła obecność Fernanda, zupełnie obcego w tem gronie. Nawet Thomassin, nauczony ostrożności z wojskowymi, gdyż kilka razy spotkała go nieprzyjemność z ich strony, mówił niewiele i bardzo oględnie, będąc przytem zajęty przecieraniem binokli, które para z zupy ciągle pokrywała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dnszyckiego i t. d. Płacę woźnemu za uprzejmość, on w pół się kłania; odchodzę.

Służba tutejsza niezepsuta hojnością gości, odznacza się prawie uniżonością; napiwki zresztą każdy przyjmuje, nawet właściciele restauracyi. Uczciwość, obok drożyzny, niesłychana: przedmioty zgubione odnaleźć można w Stadthaus'ie, w urzędzie miejskim, gdzie zasiada burmistrz i jego pomocnik, obaj bardzo uprzejmi.

Orkiestra przygrywa parę razy dziennie, w tym roku bardzo licha; kuracyusze narzekają przytem na wybór utworów, przeważnie sentymentalnych, a więc niestosownych dla rozstrojonych nerwów, — bo trzeba wiedzieć, że tutejsze wody zgoła nie uspakajają, ale to działanie chwilowe; dalsze następstwa podobno cudowne.

Samo miasto jest kolosem murowanym, dającym schronienie dziesiątkom tysięcy ludzi (kilka szkółek miejskich i ludowych), każda piędź ziemi w olbrzymiej dolinie wyzyskana dla ich wygody lub pożytku, niektóre budynki imponujące wielkością i przepychem, np. nowe łazienki za hotelem Pupp'a. Na każdą z otaczających gór, tworzących po nad domami niejako wyższe ich piętro, pokrytych lasem świerkowym, są wygodne wejścia, a powietrze tam byłoby balsamiczne, gdyby nie wyziewy restauracyjne, napotykane co krok prawie. Niemcy obawiają się snać śmierci głodowej i rozwinęli sztukę gastronomiczną do przesady. Ile bowiem kamieni na ulicach a kropel gorących w fontannie sprudlowej, tyleż jadłodajni w uroczym Karlsbadzie. Trzeba iść bardzo daleko, ażeby uwolnić się od widoku kelnerów i serwet. Z gór widok na miasto niezrównany.

Gdyby więc nie ciągłe powitania: *Guten Morgen, guten Tag, guten Abend* i *gute Nacht*, przyjmowane z konieczności nawet od nieznajomych, prawdziwa „piła" Karlsbadu, gdyby nie dym duszący z cygar, w których rozmiłowani są Niemcy, byłoby tutaj rozkosznie.

* * *

Szczawnica, 1 sierpnia.

Od kilku dni mamy słotę. To też wszyscy otulają się w cieplejszą odzież i z niecierpliwością wyczekują pogodnych dni. Bawimy się tu, jak tylko można najlepiej. Świetnie wypadł koncert chóru akademickiego z Krakowa, zaś po koncercie hasano ochoczo do białego świtu. Również dobrze się powiódł wieczór recytatorski p. St. Konopki.

Na górnej Szczawnicy potrzebaby koniecznie jeszcze jednej restauracyi. Na Miedziuś bowiem jest daleko, a jedyna restauracya w górnej Szczawnicy straszliwie droga. Ani zarząd, ani gmina nie wglądają w to, a przecież do Szczawnicy przyjeżdżają wyłącznie niemal ludzie chorzy, którym kuracya pochłania i tak znaczne sumy. Z tych samych powodów, przydałby się drugi zakład leczniczy, bo droga na Miedziuś jest dla mieszkańców górnej Szczawnicy zbyt daleka, a zakład dr. Kołączkowskiego, choć wybornie urządzony i wzorowo prowadzony, jednak z powodu swych cen nie dla wszystkich przystępny. Pożądanymi wreszcie byłyby chrześcijańscy rzeźnicy i piekarze, bo mięso i pieczywo żydowskie jest niekiedy nie do spożycia.

* * *

Zakopane 1 sierpnia

Zasłociło się u nas na dobre. Od dwóch tygodni prawie nie było ani jednego pogodnego. Wycieczki w góry należą już do przeszłości. Bo i po cóż się tam wybierać, chyba po wrażenia zimnej kąpieli. A horoskopy na przyszłość również nie wesołe. Nasi domorośli Falbowie — starzy górale, których przepowiednie meteorologiczne nie rzadko się sprawdzają, twierdzą, że wpierw jeszcze śnieg pokryje góry, zanim pogoda się ustali.

Niepomnym tym warunkom atmosferycznym zawdzięczają w tym roku powodzenie wszystkie koncerty i zabawy. Akademicy krakowscy urządzili tu koncert, który udał się pod każdym względem wyśmienicie. Na koncercie, oraz na reunionie panował w sali tłok niesłychany — a Gustaw Fiszer, który wystąpił tu z swoimi niezrównanymi monologami, miał również wyśpiewaną salę. Prawdziwy entuzyazm wywołał tu swoim koncertem tenor opery praskiej, p. Władysław Floriański. Tłum publiczności wypełniającej po brzegi salę „dworca", drżała zachwytem, oklaskom zaś nie było końca.

Mamy tu zapowiedziane jeszcze koncerta Barcewicza i „Echa" lwowskiego.

*

Z Truskawca donoszą;

Kuracyusze wysłali wiecowi polskiemu w Cieszynie telegram z wyrazami zachęty w przeprowadzeniu podjętego dzieła. Dnia 30. lipca bawił tu literat czeski, p. Adolf Czerny. Przyjęliśmy go serdecznie wspólnym obiadem w sali teatralnej. Z okazyi imienin p. Bolesława Jocza, złożyli jego goście 100 zł. na stypendyum dla jednego ucznia gimnazyum polskiego w Cieszynie. Na szkołę polską w Białej zebrano w tutejszym klubie 61 zł. 20 ct. Ks. dziekan Gromnicki z Buczacza miał tu odczyt o Franciszku Karpińskim. Dochód przeznaczony został na budowę kościoła w Hołoskowie, miejscu urodzenia Karpińskiego. Pogoda ustaliła się, gości zjechało się już bardzo wiele. O pomieszkanie coraz trudniej.

Mały Fejleton.

Podróż w balonie „captif" który się przypadkowo zerwał z liny.

Dnia 19-go lipca miał się odbyć w Kownie dla celów wojskowych wzlot uwiązanego na linie balona „Kowno" pod kierownictwem komendanta kowieńskiego oddziału aeronautycznego, pewnego rosyjskiego kapitana. Wzloty takie przedsiębrano już w Kownie wiele razy, nie przedstawiają one bowiem żadnego niebezpieczeństwa, zwłaszcza że kapitan ów jest doskonałym aeronautą i już od 7 lat zna swój żywioł; to też bardzo często nawet osoby cywilne udawały się z nim w pełną wrażeń podróż napowietrzną. Około 100 żołnierzy niosło balon z miejsca, gdzie go napełniono gazem, do miejsca wzlotu, trzymając go na linach długości 20 sążni. Liny te przytwierdzone były do łódki, w której już siedział kapitan. Ponieważ nie chodziło o wzlot swobodny, więc też i balon nie był wcale zaopatrzony w odpowiednie narzędzia i tak np. balastu było tylko 2 pudy zamiast 18 pudów, które zawsze brano przy wzlotach swobodnych, brakowało 40 sążniowej grubej liny, która przy spuszczaniu się na ziemię służyła jako pufer do osłabienia gwałtowności spadu, a aeronauta nie miał ani termometru, ani map, ani papierów swoich, ani nawet odzieży, prócz tej, którą miał na sobie. W koszu jego znajdowały się tylko przyrządy nieodzowne przy wzlocie na linie: mianowicie przyrząd, oznaczający wysokość wzlotu, barometr aneroid, dwa binokle i skrzyneczkę z instrumentami do naprawiania balonu.

Zdarzył się jednak nieprzewidziany wypadek. Podczas przenoszenia balonu z miejsca napełniania gazem na stałe miejsce wzlotu, gdzie były przyrządy do przytwierdzenia lin itp., musieli zawsze ludzie niosący balon przeprawiać go ponad przewodami telegraficznymi, które były na drodze. Działo się to już oddawna bez żadnego wypadku w ten sposób, że najprzód połowę lin, na których uwiązany był balon, przerzucano poza przewody telegraficzne, ludzie ujmowali je wszystkie w ręce, poczem ludzie pozostali po drugiej stronie przewodu znowu puszczali resztę lin, przechodzili dalej i gdy już cały ów kłębek lin minął przeszkodę, ujmowali znowu swoje liny i odprowadzali dalej balon na miejsce wzlotu. Operacya ta wymagała zawsze dużo siły, zręczności i przytomności tak ludzi niosących balon jak i wydającego z balonu rozkazy aeronauty. Tym razem jednak zaniedbano potrzebnej ostrożności, ludzie stojący po drugiej stronie przewodu nie zdołali w sam czas ująć wszystkich swoich lin, podczas gdy inni już resztę lin puścili, i w ten sposób balon nie mając pod sobą ciężaru zdolnego go przytrzymać, wyrwał się i pomknął w powietrze z niesłychaną chyżością. Chyżość wzlotu była taką, że w dwu minutach balon wzniósł się na wysokość 5500 metrów. Było to o 2 godz. po południu.

Położenie nieprzygotowanego na taki wypadek aeronauty, było rozpaczliwe. Gdyby to spotkało człowieka mniej przytomnego lub mniej obznajomionego z aeronautyką, byłby niezawodnie zginął. Bo gdyby aeronauta ociągał się z zatrzymaniem balonu, balon wzniósł by się do takiej wysokości, na którejby ciśnienie gazów z wewnątrz przewyższyło ciśnienie rozrzedzonego powietrza i rozsadziło balon. Zanimby to jednak nastąpiło, mogła aeronautę spotkać śmierć inna, jeszcze rychlejsza: uduszenie się w rozrzedzonem powietrzu wskutek braku tlenu. A śmierć ta zaglądała już w oczy. Nogi aeronauty marzły. Nie mając ze sobą termometru, ocenił on po subjektywnem uczuciu temperaturę na 10 stopni niżej zera. W oka mgnieniu rozpoznał swoje położenie. Musiał koniecznie zatrzymać dalszy wzlot balonu, a w tym celu trzeba było otworzyć dosyć wysoko położoną klapę. Klapa była jednak zatkaną gumowym pierścieniem, który przeszkadzał uchodzeniu gazu przy wzlotach na linie. Ten pierścień stał się teraz jedną trudnością więcej. Kapitan obawiał się, że będzie on tak silnie otaczał szyję klapy wessany niejako wskutek różnicy ciśnienia gazów, iż zdjęcie jego będzie niemożliwem. Uchwycił się trapezu zwisającego z balonu, wzniósł się na nim i z wytężeniem wszystkich sił szarpał linkę od owego pierścienia. Na szczęście pierścień odskoczył, aeronauta szybko otworzył klapę i wypuścił część gazu z balonu. Razem z uchodzącym gazem wylało się z balonu trochę chłodnej wody na głowę aeronauty. W ten sposób minęło główne niebezpieczeństwo. Balon począł już odtąd lecieć tylko w kierunku poziomym, lecz naturalnie im więcej gazu uchodziło, tem bardziej opadał ku ziemi. Chodziło teraz tylko o to, aby spadek balonu uczynić łagodnym i równomiernym W tym celu postanowił aeronauta od czasu do czasu wyrzucać instrumenty znajdujące się wewnątrz balonu, aby balon na chwilę podrywał się w górę i nie spadał zbyt szybko.

Rzucił okiem na cały balast, który miał w koszu: były tylko dwa worki piasku, kilka instrumentów i ubranie które miał na sobie.

Wszystko to musiało być wyrzuconem, nawet niektóre części ubrania, jak buty, zamierzał pozostać tylko w płóciennym mundurze (w kitlu) a to dla tego, aby mieszkańcy okolicy, na której wyląduje, nie wzięli go za jakieś cudo — jak się to już zdarzało — i nie wyrządzili mu krzywdy.

Niezadługo począł balon coraz bardziej opadać; wtedy aeronauta wyrzucił pierwszy balast: mniejszy worek piasku. Worek ten, który wziął do balonu trochę przemoczony, tak przymarzł do spodu kosza, że trzeba go było odrywać nożem. Było to na wysokości 3500 metrów. Około godziny 6 wieczorem był balon w oddaleniu już tylko 500 metrów od ziemi. Chociaż szanse uratowania się trochę się zwiększyły, ale niebezpieczeństwo było jeszcze wciąż tak samo wielkie, bo balastu mogło zabraknąć i balon, nie mając liny-puffera, mógł ze straszną siłą uderzyć o ziemię, gdyż cały jego ciężar — licząc w to ciężar samego aeronauty — wynosił więcej niż 3 cntn. Zoryentowawszy się w tem położeniu, aeronauta wylazł poza kosz ryzykując życie, przeciął sznurki zaplątane naokoło liny kotwicznej i spuścił kotwicę. Ale zły jakiś los ścigał biednego podróżnika: kotwica bowiem spadła na ziemię nie kolcami, lecz odwrotnym końcem i nie mogła się wskutek tego o nic zaczepić; tymczasem zaś balon spadał z wielką chyżością. Na dobitkę wszystkiego los zesłał nowe straszne niebezpieczeństwo: na dole widać było ogromne i głębokie jezioro. Z balonu bowiem z pewnej wysokości widzieć można wszystko tak dokładnie, że się rozróżnia dna głębokich rzek, jezior, a nawet dno morza. Patrząc na kierunek lotu balonu, aeronauta nie wątpił już o tem, że spadnie w to właśnie jezioro. Pierwszą jego myślą było włożyć na siebie kamizelkę z korku zrobioną, ale wstrzymała go od tego obawa, że okoliczni chłopi nie widząc na nim munduru, gotowi uważać go za jakiegoś awanturnika i poturbować. Aby zwrócić na siebie uwagę chłopów pracujących w polu, począł trąbić. Balon był już coraz bliżej ziemi, na szczęście jezioro było trochę dalej, a dwudziestosążniowe sznury zwisające z balonu poczęły już zaplątywać się za wierzchołki drzew i powstrzymywać chyżość pędu balonu. Teraz spadek już był całkiem bezpieczny. I tak o godzinie 7 wieczorem dotknął kapitan ziemi w oddaleniu 15 kroków od jeziora Peczora, w gubernii liflandzkiej Zbiegli się naokoło ludzie i pomogli aeronaucie zwinąć balon, który potem zanieśli do mieszkającego o pięć wiorst od tego miejsca lekarza powiatowego dra Giesa, który przyjął szczęśliwego aeronautę nadzwyczaj serdecznie i wysłał do miasteczka posłańca z telegramem do żony i dzieci kapitana, które pozostały w okropnej rozpaczy, nie wiedząc o jego losie. U tego lekarza odpoczął strudzony aeronauta, a nazajutrz wyjechał do Kowna, postarawszy się wprzód o świadectwo władz miejscowych, że w tem a tem miejscu spuścił się w balonie.

Trudno opisać wszystkie wrażenia, które aeronauta przebył w ciągu tych 5 godzin niebezpiecznej podróży. Dość powiedzieć, że pod czas pierwszych trzech godzin uważał się za zgubionego. Jego wyczerpanie moralne i fizyczne było niesłychane. Kiedy ludzie, którzy obdarowani przez aeronautę, krzyknęli mu: „hurra!", człowiek ów, który przez 5 godzin opierał się niebezpieczeństwom i nie tracił siły ducha, rozpłakał się jak dziecko. Zdenerwowany zaś był do tego stopnia, że dwa dni ani nie jadł, ani nie spał, zajmując się tylko ulokowaniem balonu.

Według przybliżonego rachunku, balon przebył w 5 godzinach przeszło 450 wiorst. Gdyby po wzlocie z Kowna zawiał wiatr wschodni, to balon przy takiej chyżości opadłby aż na morzu bałtyckiem. Nie obeszło się i bez przygód humorystycznych. Na wysokości 5500 metrów od ziemi, ujrzał aeronauta, że w koszu nie jest osamotniony: towarzyszem jego podróży była zwykła mucha, która brzęczała niespokojnie czując, że ją otacza jakaś inna, niż dotąd atmosfera. Brzęczenie jej rozlegało się tak silnie, niby brzęczenie bąka. Kiedy w oddaleniu pół wiorsty od ziemi aeronauta przelatywał ponad głowami pracujących w polu ludzi, krzyknął do nich: „W której jestem gubernii?" — Na co zamiast odpowiedzi, usłyszał idyotyczne pytanie: „A dokądże pan lecisz?"

Z izby sądowej

Brzeżany 4 sierpnia

(*Antysemici chodorowscy.*)

Wyrok ogłoszono dziś o godzinie 11.

Piętnastu oskarżonych uwolniono; zasądzono: jednego na 5 miesięcy, siedmiu na 3, 10 na 2 miesiące, 12 na sześć tygodni ciężkiego więzienia, jednego na 14 dni, 4 na trzy dni, Arbeita na dwa dni aresztu, Schora na dwa miesiące zwykłego więzienia. Trybunał w motywach przyjął prowokacyę „barabów". Obrońcy nie zgłosili zażalenia, by oszczędzić zasądzonym przedłużenia aresztu, w którym już siedzą cztery miesiące.

* * *

Paryż 4 sierpnia.

(*Obraza sułtana*)

Przed sądem policyjnym stawali tu wczoraj redaktorzy wydawanego w Paryżu organu młodotureckiego *Mechweret*, Achmed Riza i Habdi Garen, jakoteż wydawca tego pisma Houilmon pod zarzutem obrazy sułtana, oskarżeni przez turecką ambasadę. W piśmie owem pomawiano sułtana o zamiłowanie w okrucieństwach i lżono go za niedołężną gospodarkę państwową.

W rozprawie przesłuchano wielu świadków. Jednym z nich był Clemenceau, który wygłosił formalną apologię młodotureckiego ruchu. Przypomniał też przy tej sposobności, iż pisma francuskie jeszcze dotkliwiej obrażały sułtana niż tureccy publicyści, którzy dla tego tylko stoją przed kratkami, iż są poddanymi sułtana.

Zawezwany również w charakterze świadka Rochefort, bawi u wód i usprawiedliwił się, że przybyć nie może. Odczytano jego oświadczenie pisemne. Zeznaje, że był u niego wysłannik sułtana, celem pozyskania *Intransigeant'a*. Wysłannik oświadczył, że gdyby Rochefort zgodził się popierać sułtana, znajdzie się w dobrem towarzystwie, bo cesarza Wilhelma.

Oskarżonych zasądzono na kary pieniężne w łącznej kwocie 100 franków. Uzasadnienie wyroku uznaje wysokie poczucie honoru u oskarżonych młodotureckich publicystów, których postępowanie dostatecznie usprawiedliwia ogólne oburzenie za armeńskie rzezie. Publiczność przyjęła wyrok oklaskami i okrzykami: „Niech żyje Francya — precz z sułtanem!"

Powodzie.

Do podanych wczoraj szczegółów dodajemy, że woda w Wiedniu i okolicy nie opadła, a gdzie niegdzie ciągle jeszcze się wznosi. W Praterze wody coraz więcej, gdyż dostaje się tam ona nietylko górą, ale i gdzieś i podziemnemi drogami i w wielu miejscach wychodzi dopiero z pod ziemi, zalewając niespodziewanie duże terytorya. W niektórych miejscach wytryskają formalne źródła z pomiędzy trotuarowych płyt kamiennych. W Nussdorfie i Altern zdołano zapobiedz przerwaniu wałów ochronnych przez wpuszczenie w wodę ogromnych worów z kamieniami i piaskiem.

Z Pöchlarn, Spitz i Preszburga donoszą, że w podnoszeniu się wody nastała przerwa, ale w miarę jak usuwa się niebezpieczeństwo życia, rośnie troska na widok nieobliczonych szkód wyrządzonych powodzią. Tam gdzie woda nie zalała pól i zbóż, tam zżęte już i rozłożone na polach zboża, od tygodnia przeszło zlewane bez przestanku deszczami, poczęły gnić. Winnice także zagrożone ogromnie i ludność z tego powodu w rozpaczy.

Ofiarą katastrofy powodzi na wielką skalę stała się miejscowość Aussee, położona w Salzkammergucie. Wszystko tam pod wodą, która zniszczyła zupełnie 15 mostów i zawaliła 17 domów. Skwery ulic, promenady poniszczone zupełnie. W wezbranych falach rzeki Trauny zginął jeden człowiek.

Oprócz tego, jak było do przewidzenia okazują się w wielu miejscach tam, gdzie powódź już częściowo ustała, jej skutki. I tak zauważono w zeszłym tygodniu, że most kolejowy na rzece Schwechat pod Baden koło Wiednia, zaklęsł się w jednem miejscu z powodu podmycia jego filaru. Wskutek tego wstrzymano ruch pociągów na tym moście w piątek zeszłego tygodnia. Otóż przedwczoraj filar ten runął a łuk mostu wisi w powietrzu.

Cesarz który miał wczoraj przyjechać z Ischlu do Wiednia, nie mógł z powodu przeszkód komunikacyjnych jechać koleją zachodnią, i odbył podróż wskutek tego częścią koleją Salzkammergutu, częścią powozem do Salzburga, a stamtąd przez Bischofshofen-Selzthal i Leoben koleją południową do Wiednia. Jak wielkie zaś są przeszkody komunikacyjne, o tem to może zaświadczyć, że nadana w Ischlu depesza cesarska szła do Wiednia przez Frankfurt nad Menem.

*

Przy sposobności akcyi zapobiegawczej powodzi i jej skutkom, zdarzył się we Wiedniu wysoce dramatyczny wypadek. Jak wiadomo, spuszczono na fale Dunaju t. zw. Sperschiff. Okręt ten spuszczony w wodę w poprzek pod kątem prostym do prądu rzeki, jest niejako ścianą ochronną, której zadaniem jest powstrzymywanie wody i regulowanie jej naporu. Regulacya ta odbywa się w ten sposób, że okręt ten zagłębia się stosownie do mas napływającej wody głębiej, przez co nie dopuszcza się, by po drugiej stronie okrętu wylewało jej się zbyt wiele i by nie wylewała się zbyt nagle. Manipulacya z tym sperrschifem wymaga niesłychanej uwagi. Zła lub dobra, ale źle wykonana komenda, może wywołać katastrofę w swych skutkach nieobliczalną. Zatamowana zbyt nagle woda może buchnąć w nieodpowiednim kierunku lub przewróciwszy zaporę, uderzyć z tem straszniejszą siłą, im więcej się jej nagromadziło przed zaporą.

Otóż okręt ten, który przez trzy dni już z kolei spełniał doskonale swe usługi i uchronił miejscowości leżące po za nim wzdłuż dunajowego kanału od powodzi, był pod komendą radzcy budownictwa Wachtla. We wtorek około godziny jedenastej wydał on rozkaz wpuszczenia okrętu trochę głębiej. Rozkaz spełniono i w tej samej chwili buchnęły fale przez wierzch okrętu. Radzca Wachtl, widząc co się dzieje, stał przez chwilę jak skamieniały, patrząc z rozpaczą na rzekę. W tem rzucił nagle notatkę, którą trzymał w ręku, na ziemię, przeskoczył przez poręcz okrętu i rzucił się w spienione bałwany.

Straszny krzyk zgromadzonego na brzegach tłumu był odpowiedzią na ten widok. Rzucono się tedy, aby nieszczęśliwego ratować i rozpoczęła się rozpaczliwa walka z falami o życie Wachtla. Podawano mu żerdzie, ale Wachtel dopóki nie utracił przytomności, zdawał się odtrącać wszelką pomoc. Poczęto go chwytać hakami, ale co zaczepił się hak o jego ubranie, to odrywał się, i ciało nieszczęśliwego niknęło na nowo w wodzie. Pięć razy powtórzył się ten okropny widok. W końcu udało się pochwycić go mocniej i wyciągnąć na brzeg. Tam przywołano go do życia i odwieziono do domu, przygotowawszy wprzód rodzinę na to, co się stało.

Radzca Wachtel, 45-letni mężczyzna, pełniący już od 10 lat służbę przy „szperszyfie", skoczył prawdopodobnie w wodę w zamiarze samobójczym. Ujrzawszy pierwszy niespodziewany skutek swego rozkazu, przeraził się tem, że rozkaz wydał nieodpowiedni, a mając w myśli okropne skutki jakie to może wywołać, skoczył zrozpaczony w wodę. Jak się później okazało, rozkaz był dobrym i radzca Wachtel zasłużył nim tylko na pochwałę, ale w pierwszej chwili niepewności strach przed odpowiedzialnością odebrał mu panowanie nad sobą.

KRONIKA.

Lwów 5 sierpnia.

Marszałek krajowy wyjechał do Krakowa na odbywający się dzisiaj ślub hrabianki Zofii Potockiej z hr. Zdzisławem Tarnowskim, synem marszałka.

Śluby. W Krakowie odbył się wczoraj ślub panny Róży Potockiej z ks. Maciejem Radziwiłłem. *Czas* podaje taki opis tych zaślubin: „Imponujący szereg powozów wyruszył o godz. 11 rano od pałacu pod Baranami przez Grodzką ulicę, wioząc gości weselnych do katedry na Wawelu, gdzie nowożeńcom przed ołtarzem św. Stanisława pobłogosławił książę biskup krakowski ks. Puzyna, poczem odprawił tamże mszę św. Po mszy św. przemówił arcypasterz od ołtarza, w głęboko pomyślanych słowach podnosząc wpływ i przykład, jaki od lat 50 babka panny młodej hr. Adamowa Potocka i jej rodzina daje całej młodszej generacyi. — Nawa katedry była ślicznie i wspaniale udekorowana krzewami, makatami i gobelinami, przed kościołem długi namiot ubrany festonami i flagami prowadził od dziedzińca zamkowego do wejścia do kościoła. Drużbami byli ks. Stanisław Lubomirski i ks. Franciszek Radziwiłł, druchnami panny Zofia hr. Potocka i Jadwiga ks. Radziwiłłówna. Kościół przepełniony był gośćmi weselnymi, między którymi najliczniej reprezentowane były rodziny: Potockich, Radziwiłłów, Tarnowskich, Siemieńskich, Czetwertyńskich, Branickich, Raczyńskich, Krasińskich, Sobańskich, Wodzickich, Brzozowskich, Grocholskich, Sierakowskich, Jaroszyńskich, Tyszkiewiczów, Lubomirskich. Nadto widzieliśmy tam ks. prałata Krzemieńskiego, hr. Esterhazego, Kazimierza i Leona hr. de Vaux, hr. Oppersdorfa, hr. Feliksa Czackiego, hr. Strogonowa i t. d. Po skończonym obrzędzie odprowadzili pannę młodą od ołtarza hr. Andrzej Potocki i Albert Radziwiłł, p. młodego hr. Andrzejowa Potocka i ks. Albertowa Radziwiłłowa.

Całe grono weselne udało się następnie do pałacu pod Baranami, gdzie babka panny młodej hr. Adamowa Potocka podejmowała zaproszonych śniadaniem. Do stołów zastawionych w czterech salach zasiadło półtorasta osób, między któremi bardzo liczny zastęp pań i panien, błyszczących urodą i wspaniałemi tualetami. Pierwszy toast wniósł hr. Roman Potocki na cześć pary nowożeńców. Następnie ks. Maciej Radziwiłł (ojciec) wniósł zdrowie rodziny Potockich; hr. Andrzej Potocki zdrowie rodziny Radziwiłłów; ks. Antoni Radziwiłł z Berlina zdrowie rodziny ś. p. matki panny młodej, ks. Lubomirskich. W ręce hr. Aleksandrowej Branickiej toastował na cześć Branickich ks. Stefan Lubomirski. Wreszcie hr. Andrzej Potocki w dłuższym i wymownym toaście uczcił zasługi Księcia Biskupa krakowskiego i życzył mu długich lat zdrowia."

Tydzień temu, mianowicie w zeszły czwartek, odbył się w Paryżu w kościele Śgo Piotra ślub Zofii hrabianki Branickiej z Piotrem Strozzi księciem Forano. Obrzędu zaślubin dokonał O. Czorba, spokrewniony z Branickimi. Pannę młodą prowadził do ołtarza wuj jej, Jan ks. Sapieha; pana młodego matka, z domu księżniczka Centurione. — W orszaku ślubnym szli: Władysławowa hr. Branicka z hr. Strozzim, Jadwiga hr. Branicka z hr. Tornielli, ambasadorem włoskim; księżna Strozzi-Bagnolo z baronem Mohrenheimem, baronowa Mohrenheimowa z Mikoł. hr. Potockim, Janowa księżna Radziwiłłowa z hr. Guicciardinim, hrabina Tornielli z Władysławem hr. Branickim, Anna hr. Branicka z ks. Sapiehą, hrabina Galerando z hr. Starzyńskim.

Sprawozdawca *Figara* tak opisuje toaletę panny młodej: suknia z satyny koloru kości słoniowej, duża szarfa ze starych koronek nieocenionej wartości, opasująca talię wpół i schodząca na dół aż na tren; stanik pokryty koronkami i ubrany kwieciem pomarańczy... Po ślubie udano się do pałacu Branickich na ulicy Lubeck, który był od dołu do góry udekorowany świeżymi kwiatami; tu miał miejsce *lunch*, w którym wzięło udział do stu osób. Państwo młodzi pojechali do Szwajcaryi przepędzić miodowy miesiąc nad brzegami jeziora czterech kantonów.

Wyścig oficerski. Oficerowie 1 dywizyi 3 pułku ułanów obrony krajowej urządzili dnia 28go lipca wyścig konny od koszar swych w Samborze do dworca kolejowego Dublany-Kranzberg. Przestrzeń ta w linii powietrznej wynosi 14.5 km. Liczne potoki, trzęsawiska stanowiły poważne przeszkody, nie licząc już wielkiej w czasie wyścigu szalejącej ulewy. Do mety przybył pierwszy por Czopek w 36 minut 10 sek., por. Dobrzański w 43 m. 8 sek., por. Hörman w 48 m. 14 sek.

Imponująca armia. Z Aten donoszą, że gdy tylko pokój zostanie zawarty, natychmiast ministeryum wojny wytoczy około 100 oficerom greckim proces przed sądem wojennym o tchórzostwo.

Konkurs rozpisuje Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie na posadę ekspedyenta pocztowego w Gelsendorf-Komarowie, w pow. stryjskim. Kaucya 200 zł. Pobory 190 zł. Termin do 12 bm.

Styl urzędowy polski bywa tak cudaczny, że nieraz trzeba godzinami całemi myśleć, a nawet zwoływać consilia znajomych i zaglądać do encyklopedyi, aby dociec, co ten lub ów zwrot w jakimś komunikacie urzędowym albo w blankiecie znaczy. Kto np. miał w ubiegłym miesiącu do czynienia z deklaracyą o podatku zarobkowym, ten z pewnością długo się męczył nad rozwiązaniem łamigłówki, ujętej w dwa wyrazy: „peryod rozkładu". Miało to być „okres podatkowy", czyli czas, za który będzie się podatek opłacało. Gorzej jeszcze było z tłómaczeniem polskiem nowej procedury cywilnej i instrukcyi dla urzędników o wykonywaniu tej procedury. Tłómaczenia tych bardzo ważnych dla urzędów podręczników były tak haniebne i zawiłe, że prezydent wyższego sądu dr. Tchórznicki podręczniki owe odesłał do Wiednia z prośbą o inne tłómaczenie. Ministerstwo sprawiedliwości poruczyło więc ponowne tłómaczenie już nie biuralistom wiedeńskim, którzy zatracili już wskutek długiego pobytu w niemieckiem mieście swobodę zrozumiałego polskiego stylu, lecz radzcom sądowym ze Lwowa, pp. Misińskiemu i Żuławskiemu. Tłómaczenie nowe okazało się bardzo dobrem, Ministerstwo przeto obok remuneracyi przesłało tłómaczom wyrazy uznania i szczerą podziękę.

Jeszcze o Bojczewie. Korespondent filipopolski berlińskiego *Local Anzeiger*'a donosi o zajściu, jakie się odbyło pomiędzy Bojczewem a jego żoną. Skoro zapadł wyrok na rotmistrza, wpadła żona, która w ostatnim czasie nie przysłuchiwała się rozprawom, do ławy oskarżonych i z krzykiem rzuciła się małżonkowi na szyję Sędziowie przyskoczyli natychmiast, pragnąc czułą parę rozerwać, przyczem pani Bojczew miała stracić przytomność. Następnie Bojczewa, który tego dnia po raz pierwszy ukazał się w sali sądowej bez odznaki honorowej na piersiach, odprowadzono do więzienia.

Ojciec nieszczęśliwej Anny, Piotr Simon, powrócił z swoją wnuczką do Budapesztu. Opowiadał, że wrócił przed ogłoszeniem wyroku, ponieważ niepewny był tam życia wnuczki. Jego samego otaczała żandarmerya czułą opieką. Pociąg, którym jechał i hotel, który zamieszkiwał, otaczano bezustannie żandarmeryą, gdyż wiedziano, że chciał poczynić ważne i obciążające bardzo Bojczewa zeznania. Nadzwyczaj interesującem jest, co Simon opowiadał o stosunku dworu bułgarskiego do Bojczewa. Książę Ferdynand wręczył razu pewnego mordercy 10.000 franków, polecając mu oddać takowe Annie i wymódz na niej, że zobowiąże się raz na zawsze Bułgaryę opuścić. Tymczasem Bojczew nie wręczył Annie nawet najdrobniejszej sumy, lecz pieniądze przehulał z kolegami. W chwili wydania rozkazu aresztowania Bojczewa, znajdował się on właśnie na obiedzie w pałacu książęcym. Kiedy ukazał się urzędnik i przedłożył odnośne pismo, żądał jeden z adjutantów, aby pozostawiono rotmistrza przez 24 godzin na wolnej stopie i w tym czasie pałac obstawiono strażą. Adjutant powiadomił zaraz o owem zajściu księcia, który kazał Bojczewowi pozdejmować ordery i zamienić strój wojskowy na cywilny. Dopiero później przyaresztowano go. Simon opowiadał także o zamierzonym zamachu na jego maleńką wnuczkę, którą wszelkiemi sposobami starano się zgładzić z świata.

Na wykręty Stoiłowa, bułgarskiego prezydenta ministrów, który w rozmowie z reporterem berlińskiego *Local-Anzeiger*'a twierdził, iż dzienniki austryackie napadają na rząd bułgarski z okazyi procesu Bojczewa dla tego, że między Austryą a Bułgaryą istnieją stosunki naprężone — otrzymał *Berliner Local-Anzeiger* z Sofii oświadczenie, z którego wyjmujemy następujące szczegóły:

„Zupełną nieprawdą jest, jakoby austro-węgierski jeneralny konsulat w Sofii lub konsulat w Filipopolu, usiłowały proces Bojczewa politycznie wyzyskać. Austro-węgierska reprezentacya z całą energią spełniła swój obowiązek i zanim władze bułgarskie ujęły sprawę w rękę, przesłuchała w tym przedmiocie austryackich poddanych i zebrała faktyczny materyał. W rozmowie ze Stoiłowem, która odbyła się, zanim bułgarskie władze widziały się zmuszonemi wdrożyć dochodzenie, oświadczył baron Rodicz prezydentowi ministrów wprost, iż Bojczew jest mordercą Anny, na co Stoiłow odparł, iż Rodicz widzi straszydła.

„Faktem jest, iż władze bułgarskie nie chciały znaleźć zwłok Anny Simon, a gdy one przypadkowo wypłynęły na ląd, z polecenia władz wrzucono je napowrót do wody. Później rybacy znaleźli je po raz drugi. Zwłoki miały być następnie wydane austryackiemu konsulatowi. Stoiłow przyrzekł wydanie, lecz gdy konsul chciał zwłoki zabrać, dowiedział się, iż zostały one już pochowane na miejscu, gdzie były znalezione. Gdy zwłoki trzy dni przed rozpoczęciem procesu wyjęte były z ziemi, był konsul mile uderzony tem, iż na grobie Anny stał krzyż. Dowiedział on się jednak później, iż krzyż postawiony był dopiero wtedy, gdy ekshumacya została już uchwaloną. I to więc była komedya.

„Nieprawdą jest, iż Bojczew został natychmiast usunięty z urzędu. Podczas całego toku procesu był on rotmistrzem w rezerwie. Zresztą w całej Bułgaryi publicznie opowiadają, iż ojciec Małachowa, następcy Bojczewa na stanowisku adjutanta, był członkiem tej samej bandy rabusiów, do której należał ojciec Bojczewa.

„Co do Nowelicza, należy zaznaczyć, iż rząd chciał się go wobec zagranicy wyprzeć w równie nieprawdziwy sposób, jak obecnie Bojczewa. Ajencyi bałkańskiej polecono donieść, iż Nowelicz jest podrzędnym urzędnikiem policyjnym a nie prefektem policyi W tej samej depeszy Ajencyi bałkańskiej doniesiono także, iż Bojczew nie otrzymał nigdy dekoracyi od księcia, a natomiast posiada wysoki order austryacki. Ta depesza, ułożona na życzenie Stoiłowa, przyszła także do Wiednia, ale nigdzie nie była pomieszczoną.

„Avradalego, który Annę odpędził, gdy się pojawiła przed pałacem, nazywa Stoiłow sługą pałacowym. To jest wprost śmiesznem dla każdego, kto zna tutejsze stosunki. Avradali jest głową szeroko rozgałęzionego w Bułgaryi systemu szpiegostwa, jest ulubieńcem księcia; gotów on jest do każdego czynu, chytry, zręczny, uporczywy, posiada wszystkie przymioty, które w ciągu stuleci były cechą wszystkich ulubieńców oryentalnych władzców.

„Jedyną prawdą w wywodach Stoiłowa jest przyznanie, iż książę wydał polecenie usunięcia Anny. Objaśnia to ostro bułgarskie stosunki, iż następstwem tego życzenia była śmierć Anny.

„Wyroku w procesie nie bierze nikt na seryo. Wielu Bułgarów, którzy dziś swobodnie chodzą, siedzieli już w więzieniu za morderstwa. Przyjaciele Bojczewa i pieniądze jego żony otworzą mu prędzej czy później bramy więzienia".

Międzynarodowy kongres kobiet rozpoczął wczoraj obrady w Brukseli. Przybyło 300 delegatek z Niemiec, Francyi, Austryi, Szwajcaryi, Belgii Holandyi i Szwecyi. Delegatki rosyjskie przedłożyły memoryał o smutnem położeniu kobiet rosyjskich. Na porządku dziennym jest także sprawa udzielenia kobietom praw politycznych.

Wdzięczność włościanina. Otrzymaliśmy od jednego z włościan list, który jako przykład szczerej wdzięczności przytaczamy w całości:

„Posiadam kilka morgów ziemi i pracuję przy roli we wsi Ładańcach w powiecie przemyślańskim. Mam kilkoro dzieci i z tych syna Petrunia, bo bardzo ciekawy, posyłam do szkoły, i jest już w szóstej w gimnazyum we Lwowie. Zrazu przy zasiłku otrzymanym z rady powiatowej utrzymywałem go na bursie we Lwowie, i było to dla mego Petrunia dobrodziejstwem; chociaż Petrunio uczył się dobrze i sprawował dobrze, lecz chociaż Rusina, wydalono go z bursy ruskiej, bo ni ja ni mój Petrunio nie nadajemy się do śpiewki „huraha! na wroha, na Lacha“. Ciężko mi więc było utrzymywać Petrunia w szkołach, ale że się uczy dobrze, i gdy przyjdzie na wakacye do domu, pomaga mi w gospodarce i jest dobrem dzieckiem, to i mam nadzieję, że gdy wyrośnie, będzie i dobrym człowiekiem i gospodarzem; to dawałem z ostatniego, byle Petrunio się uczył czegoś!

Były lata nieurodzaju, ginęło bydło i już zdawało mi się, że Petrunia przyjdzie ze szkoły odebrać, gdy mię poratował p. hr. Roman Potocki, dając na utrzymanie Petrunia w szkołach 50 złr., aż tego roku przejeżdżając przez Ładańce dowiedziawszy się, że Petrunio dobrze się uczy, i jest posłuszny i dobry chłopak, aby się Petrunio dalej uczył dał mi znów 50 złr., za co niech Bóg p. hr. Romanowi Potockiemu stokrotnie wynagrodzi. Z Wypysk pojechał p. hr. Roman Potocki do sąsiedniego Brykonia i podarował gminie cztery morgi przedniej łąki na pastwisko, a pogorzelcom w Borszowie materyał na pobudowanie. Gdy dziś trudno o dobrych ludzi i o dobre uczynki, a tylko czytam i słyszę o zawiści — proszę Szanowną Redakcyę o podanie do wiadomości co tu piszę, i zostaję z głębokim szacunkiem *Iwan Procyk*, gospodarz.

Ładańce 3 sierpnia 1897.“

Brutalny sługa. Żona jednego z poważanych obywateli tutejszych dowiedziała się pod nieobecność męża, że woźnica jej bez pozwolenia pana przyjmuje do stajni rozmaitych włóczęgów na nocleg. Aby sprawdzić to, udała się owa pani onegdaj po godzinie 10 wieczorem w towarzystwie lokaja na podwórze domu, w którym mąż jej wynajmuje stajnię na swe konie. Doniesienia okazały się prawdziwemi. W stajni znalazła pani całą zgraję drabów, zabierających się do snu. Oburzona tą nieesumiennością sługi skarciła go, woźnica jednak zamiast uznać błąd i przeprosić swą chlebodawczynię, obsypał ją potokiem obelg, uderzył a następnie z widłami żelaznemi rzucił się na nią. Szczęściem zbiegli się domownicy, wydarli brutalnemu słudze widły i oddali go w ręce policyi.

Wystawa w Paryżu. *Wiener Ztg.* ogłasza skład komisyi austryackiej dla wystawy powszechnej w Paryżu r. 1900. Protektorem tej komisyi został arcyksiążę Franciszek Ferdynand. Prezydentem komisyi centr. minister handlu Glanz, wiceprezydentem szef sekcyjny Weigelsperg, członkami komisyi z Polaków: Dawid Abrahamowicz, Baczewski Leopold, hr. Dzieduszycki Włodzimierz, hr. Lanckoroński, dr. Marchwicki, hr. Piniński Leon, hr. Potocki Roman, Struszkiewicz Wład. i Szczepanowski Stanisław. Komisya składa się z 96 członków. Stałym referentem został Exner Wilhelm W komitecie węgierskim, który liczy 26 członków, jest prezydentem minister Daniel, Komitet specyalny dla wystawy retrospektywnej liczy 40 członków Prezydentem jest radca dworu Aleks. Bauer a członkiem z Polaków profesor politechniki lwowskiej Roman Załoziecki. Komitet specyalny dla sztuk pięknych z komitetem filialnym we Wiedniu, Pradze i Krakowie. Prezesem krakowskiego komitetu specyalnego jest dr. Maryan Sokołowski a członkami Augustynowicz Aleks., Fałat Julian, dr. Łoziński Władysł. i profesor Wyczółkowski Leon. Przewodniczącym komitetu rolnicze-leśnego we Lwowie jest hr. Stan. Stadnicki, a członkami St. Brykczyński, Henr. Dołkowski, Kaźm. Jędrzejowicz, Piotr Hirsch, Wład. Lubomirski, Edward Oczosalski, Tad. Pilat, Jul. Segler, Wład. Tyniecki, Ferd. Wilkosz i Winc. Witosławski.

Napad i rabunek. Onegdaj między godziną 1 a 2 w nocy napadli niewyśledzeni dotąd złoczyńcy zniedołężniałego a bogatego włościanina w Krowodrzy pod Krakowem, 86letniego Kazimierza Szostaka. Rabusie wyjęli kilka szyb z okna i dostali się do pokoju, gdzie starzec spał. Ostremi narzędziami pokaleczyli go mocno w głowę i szyję. Szostak jęczał, ale upływ krwi był tak wielki, że o ratunek wołać nie mógł starzec. Zupełnie bezwładnego rzucili rabusie na podłogę i przykryli pierzyną, a sami udali się do drugiej izby, gdzie stała skrzynia z pieniędzmi. Zabrali około 2000 zł. w banknotach i już dobierali się do srebrnych pieniędzy, gdy nagle ze dworu dało się słyszeć uderzenie szabli o sztachety. Pewien feldwebel 13 pp, przechodząc tamtędy, posłyszał z głębi jęki. Nie wiedząc, co się dzieje, przechodzień ów stuknął szablą kilka razy o sztachety, sądząc że to może na co się przyda. Przydało się w istocie, bo złodzieje nie tknęli już srebra którego było w skrzyni dużo, a uciekając, upuścili po drodze kilka dziesięcioreńskówek. Nieszczęśliwy starzec, bardzo we wsi poważany, umarł wczoraj po południu. Policya nie ma dotąd żadnych poszlak tych opryszków.

Irytacya zacietrzewionych Niemców nie ma granic. Bismarkowskie *Alldeutsche Blätter* ostrzegają cesarza Wilhelma przed podróżą na manewry w Austro-Węgrzech. „Jest to bowiem kraj“ pisze ów skrajnie szowinistyczny dziennik „gdzie słowiańska buta urąga najświętszym prawom narodowym Niemców i gdzie pod pałaszami i bagnetami mniejwartościowej rasy krwawi się szczep, któremu austro-węgierska monarchia zawdzięcza wszystko, czem wogóle jest i co znaczy.“

Samobójstwo w wagonie. Wczorajszej nocy około godziny 2 wsiadł w Stanisławowie do wagonu drugiej klasy pociągu nr. 314 dążącego do Lwowa młody, przystojny, wytwornie ubrany człowiek, mający lat około 30. Rano, gdy pociąg ruszył z Chodorowa, usłyszano wystrzał w wagonie Pasażerowie zbiegli się i ujrzeli człowieka broczącego we krwi, leżącego z dymiącym jeszcze rewolwerem w ręku na poduszce. Pociąg wstrzymano i wóz z dającym słabe znaki życia samobójcą odczepiono i pozostawiono w Chodorowie. Zanim jednak wezwano lekarza, samobójca zakończył życie skutkiem upływu krwi. Przy samobójcy znaleziono bilet kolejowy drugiej klasy ze Stanisławowa do Lwowa, bilet wizytowy „Kazimierz Sokołowski“ i kartkę z napisem: „Kochaj mnie i nie zapomnij o mnie.“ W kartce tej znajduje się pukiel czarnych włosów.

Bohaterowie. Z wyspy Trędowatych pisze prof. dr. A. Koch do berlińskiego *Local-Anzeiger*'a: „Pierwsi trędowaci wylądowali na półwysep (Kalawoo) dnia 6. stycznia 1866 roku i od owego czasu rząd z bezwzględną surowością wszelkich dokładał starań, aby wszystkich trędowatych tam wysyłać, choćby przyszło rozdzielić w tym celu małżeństwo. Środek ten, jakkolwiek wydawać się może okrutnym, jest nakazany przez żelazną konieczność, w interesie ochrony zdrowych. W pierwszych czasach przywiezieni do Kalawoo chorzy byli, niemal zupełnie pozostawieni sami sobie. Dopiero kiedy przybył dobrowolnie ksiądz belgijski O. Damian Devenster, zaczęły się zmiany. Już sama obecność białego, ucywilizowanego księdza, podnieciła troskliwość władz. Dzięki temu kapłanowi, zaprowadzono zwolna porządną obsługę chorych, służbę Bożą, szkoły i osada weszła w karby życia gminnego. O. Damian przez lat 13 swego tam pobytu czuwał nad łożem 2000 z górą konających, aż sam uległ strasznej chorobie. Prosty krzyż na jego mogile nosi napis: „Męczennik miłości bliźniego“. Następcą urzędu i cnót zmarłego jest O. Wendelin Moellers z Westfalii, którego skromne mieszkanie i ubożuchne biesiady przez półtrzecia dnia dzieliłem. Czemże jest największa odwaga wojskowa w porównaniu z męstwem tego człowieka, mającego ciągle przed oczyma kres życia swego poprzednika“.

W Petersburgu zawiązuje się Towarzystwo międzynarodowe „Aleksandrya“ dla szerzenia idei pokojowych. Kilkaset osób, zajmujących wybitne stanowisko w Rosyi, oświadczyło gotowość przystąpić do Towarzystwa. Dewizą instytucyi będzie: „Siła nie w sile lecz w miłości“.

Wyścigi cyklistek. Onegdaj odbyły się w Jabłonnie pod Warszawą wyścigi cyklistek Stanęło do startu 7 pań, meta wynosiła 25 wiorst (około 26 km.). Pierwsza przybyła panna Kociecka w godzinę, 1 min. i 15 sek. Wyścigom przypatrywało się mnóstwo publiczności.

Nowy gatunek rabusiów Z Preszburga donoszą: Dwaj zamaskowani ludzie wtargnęli ubiegłej nocy do mieszkania właścicielki domu Józefiny Wolsein, wywlekli ją z łóżka, przywiązali do krzesła i zabrawszy całą gotówkę, srebro i kosztowności, ulotnili się. Rabusie nazwali się członkami związku „ubogich“ i przyrzekli pani Wolsein, iż jeśli milczeć będzie, wrócą jej wszystko po upływie trzech miesięcy.

Katastrofa na Krymie. Straszliwy orkan szalał 26. lipca w mieście Kiercz u wybrzeża cieśniny tej samej nazwy. Od dwóch tygodni Kierczanie wystawieni byli na upały, dochodzące do 45 stopni R. Starzy ludzie zapewniali, że dziś jutro czeka całą okolicę wielka burza i ulewy. Przepowiednia ziściła się. Dnia 26. lipca około 10. rano, spadł silny deszcz, który wnet się przemienił w ulewę. O godzinie 2. po południu na chwilkę deszcz ustał, niebo rozpogodziło się, ale wnet znowu poczęły bić pioruny, a w mieście posłyszano z oddali straszliwy łomot Okazało się, że nad przysiółkiem Katerłez, wzniesionym nieco wyżej niż miasto, rozszalał się silny tajfun. Olbrzymie masy wody zalały w okamgnieniu prawie cały przysiółek, zabierając po drodze wszystko, co napotkały, a więc: stogi zżętego zboża, budynki i ludzi. Zazwyczaj bezwodna rzeczka Mełyk-Czesme, teraz wystąpiła gwałtownie z koryta, zalała sąsiednie ulice w 10—15 minut i poczyniła ogromne spustoszenia. O ucieczce ludzie nawet nie mogli myśleć, bo wszędzie woda z niesłychaną gwałtownością rozlewała się dokoła. Łodzie ratunkowe wnet pospieszyły z pomocą, ale rozszalały żywioł porwał już na swych barkach dziesiątki ludzi. Inni, widząc co się święci, w obawie, aby woda nie uniosła ich z domem, wyskakiwali przez okna w nurty i przeważnie potonęli. Wyrządziwszy straszne spustoszenia w mieście, katastrofa przeniosła się na przeciwną stronę, na most na Mełyku. Woda most porwała, wskutek czego około 150 osób, które na nim stały, padło we wzburzone fale. Uratowano zaledwie kilkanaście, zwłoki około dwudziestu osób dotychczas wyłowiono, reszta prawdopodobnie spoczęła w otchłani morskiej. Kilkadziesiąt rodzin osierociało, szkody materyalne bardzo znaczne.

Zmarli. We Lwowie: Marya Prus Strowska, żona adwokata krajowego w Ropczycach w 33 roku życia.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano 15, w poł. 18 R., Bar. 767. Podnosi się. Pogoda.

U modniarki.

Modniarka. Ten kwiat na kapeluszu czyni panią młodszą o trzy lata.

Panna. Tak.. to proszę mi do tego kapelusza przyszyć jeszcze dwa takie kwiaty.

Aforyzmy.

Samotność jest matką myśli, a babką czynu.

Szczęście bywa niekiedy podobne do okularów: szukamy ich, nie wiedząc, że siedzą nam na nosie.

Pogoń za szczęściem — to wyścig dystansowy na złotym cielcu.

Dla niektórych ludzi największem nieszczęściem jest ich wyobrażenie o szczęściu.

Kobiety znają się na miłości daleko lepiej, niż mężczyźni, a jednak każda z nich czeka, aby jej mężczyzna choć raz w życiu dał w tym względzie wyjaśnienia.

Dla kochającego szczęśliwie kobieta jest światem, dla kochającego nieszczęśliwie — świat kobietą.

LITERATURA I SZTUKA.

* **Sienkiewicz Henry.** Na jasnym brzegu. Nowela. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1897

W noweli tej spotykamy dobrze nam znanego z „Rodziny Połanieckich“, artystę-malarza Świrskiego, który z pierwszej swej nieszczęśliwej miłości wyleczony bawi na Riwierze, gdzie oddany jest w połowie sztuce, w połowie pięknej kobiecie. Pracuje od kilku miesięcy nad obrazem „Sen i śmierć“ do którego przywiązywał ogromną wagę, albowiem miał być protestem przeciw ogólnie przyjętemu pojęciu śmierci. Wstrętnego i przerażającego kościotrupa chciał zastąpić skrzydlatym geniuszem, takim, jakim sobie Grecy wyobrażali Thanatosa. Jakoż w obrazie Świrskiego geniusz snu cicho i łagodnie oddawał ciało młodej dziewczyny geniuszowi śmierci, który pochylając się nad nią, gasił lekko płomyk lampki palącej się około jej głowy. Dwaj geniusze byli już prawie skończeni, lecz z głową dziewczyny jakoś nie szło. Świrski rozumiał, że musi być nietylko piękną, ale i bardzo indywidualną i szukał odpowiedniej modelki, ale wyszukanie nie było rzeczą łatwą. Tymczasem poznał na Riwierze piękną trzydziestopięcio-letnią wdówkę, panią Elzenową, matkę Romulusa i Remusa, z których żaden nie umiał wymawiać litery r, tak byli nawskroś „zagraniczni“. Jeden mówił: „Dzień dobgy“ — drugi: „Dzień dobhy“.

O Elzenowej słyszał Świrski jeszcze w Warszawie wiele bardzo złych rzeczy. Wiedział, że miała opinię jak najgorszą i że „towarzystwo“ przebaczało jej wszystkie wybryki jedynie ze względu na urodę, majątek i dom otwarty, jaki prowadziła. Świrski, który niezmiernie obawiał się, aby w swym wyborze na złą kobietę nie trafił, zbliżył się do niej zrazu tylko z ciekawości. Że jednak był, pomimo swoich 48 lat, niezwykle czuły na wdzięki kobiece, a Elzenowa rozwinęła całą swą kokieteryę, aby go sobie ująć, wpadł w krótkim czasie w jej sidła. Uwierzył, że jest już znudzoną towarzystwem i pragnie cichego kącika, podczas kiedy jej chodziło tylko o odzyskanie czci i stanowiska przez związek ze Świrskim. Elzenowa przemawiała też umiejętnie a wytrwale do zmysłów Świrskiego. Doszło do tego, że malarz otoczył ją raz ramieniem i szepnął: „bądź moją“, poczem porwał ją na ręce, całował oczy i usta i szeptał jakieś czułe zaklęcia. Pełen upojenia wracał tego dnia z Monte Carlo, gdzie Elzenowa mieszkała, do swojej pracowni w Nizzy. Przez całą drogę przykładał do twarzy ręce, od których szła woń heliotropu, ulubionej perfumy Elzenowej i w myśli przeżywał po raz drugi doznane przed chwilą wrażenia...

Ale nazajutrz obudził się z ogromnym niepokojem. Uczuł, że niepotrzebnie związał się z kobietą, która pod żadnym względem szczęścia zapewnić mu nie może. Jeździł jeszcze przez kilka dni do Monte Carlo i przy boku kochanej kobiety zapominał o swoich skrupułach, ale gdy tylko sam się znajdował, przemyśliwał nad wycofaniem się z niewygodnej pozycyi. Wielce przyczynił się do tego przypadek. Do licznych wielbicieli pani Elzen należał nauczyciel jej synków, Kresowicz. Był to skrajny radykał z zarodkiem suchot, gwałtowny, nie cofający się przed niczem. Ten wtargnął raz do jej pokoju, powiedział jej, że się spodlił, pokochawszy ją, bo całej jej sfery powinien nie nawidzieć, że za to wymierzy sobie karę, ale i od niej żąda pewnej zapłaty. Jak tam szło z wyrównaniem rachunków nie wiadomo, dość, że opuścił dom jej dopiero po kilku godzinach i udał się do hotelu, gdzie wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia Wypadek ten do reszty wyleczył Świrskiego z jego niezdrowej miłości. Jakkolwiek nie dowiedział się o stosunku, jaki łączył Kresowicza z Elzenową, to przecież wstrętną wydała mu się z powodu braku uczuć szlachetnych i wyrafinowanego samolubstwa, jakie okazała w obec tragicznego zgonu młodego człowieka.

Było to wielkiem szczęściem dla Świrskiego; a ponieważ szczęście lubi także chodzić w parze, więc równocześnie prawie poznał śliczną, dobrą, młodziutką pannę. Maryę Cervi „Dziadoś“ jej był Polakiem. Wyszedł z kraju po roku 1831, a później służył w wojsku włoskiem. Córkę wydał za młodszego od siebie towarzysza broni, który po kilku latach umarł, a gdy dziadka z powodu podeszłego wieku spensyonowano, wkradła się do domu ich straszna nędza. Panna Marya i matka jej szyciem i lekcyami bardzo mało mogły zarobić, więc też kiedy młoda dziewczyna dowiedziała się, że Świrski potrzebuje modelki — nie znając jej obowiązków — sama, bez wiedzy matki zgłosiła się do pracowni malarza. Świrski był zachwycony. Mając taki model, mógł kończyć rozpoczęte dzieło. Polecił modelce iść za parawan i rozebrać się do połowy. Ku jego zdziwieniu jednak dały się słyszeć po chwili z za parawanu łkania i błagalna prośba: „Panie!... Ja myślałam, że... U nas w domu bieda, ale tak... nie mogę... I gdyby pan był łaskaw do samej głowy... choćby za trzy franki... choćby za dwa... gdyby pan był łaskaw.“ Skromność, której nie przeczuwał, ta prośba, w języku jego wypowiedziana, wzruszyły go. Uspokoił dziewczynkę, o adres wypytał i w godzinę był już u jej matki, z prośbą aby pozwoliła córce pozować mu do jednego obrazu. I zawarł ugodę nadzwyczaj dla biednych kobiet korzystną. Odtąd co dzień przychodziła piękna Marynia z matką do pracowni artysty, który w niej taką moc odkrył przymiotów zewnętrznych i wewnętrznych, że daleko jeszcze było do ukończenia obrazu, kiedy oświadczył się o rękę pięknej, rozumnej i cnotliwej panienki i... naturalnie z wdzięcznem sercem został przyjęty.

Nowela ta nie dorzuci nowego liścia do wieńca sławy, jaki już zdobi czoło Sienkiewicza; niemniej jednak — choćby tylko ze względu na styl i język — jest dobrym dla literatury nabytkiem.

* **Echa muzycznego**, teatralnego i artystycznego Nr. 31 opuścił prasę i został rozesłany abonentom *Przeglądu* bezpośrednio z Warszawy. Numer ten zawiera: Ludwik Français (z portretem) przez B. J. J. — Sonety wagnerowskie (wier z), przez A. Lange. — Czy to pierwsza opera polska? przez Wiktora Czajewskiego II. — Konkurs „Echa“ na pieśń Mickiewiczowską. — Tusculum Sary Bernhardt. — Moja Mignon. Szkic powieściowy, przez Marcelego Strzemieńczyka (d. c.) — Parisiana, przez Almę. — Robert Schuman. Uwagi dla muzyków — Teofil Borkowski, przez W. Estreichera. — Przegląd muzyczny, przez M. M. Biernackiego. — Odgłosy. — Dlaczego? — Kronika. — Feljeton. — Dyrektor (nowella), przez Serwusa.

Przypominamy, że prenumeratorzy *Przeglądu* mogą abonować *Echo muzyczne* po cenie znacznie zniżonej, a wynoszącej we Lwowie 62 ct., zaś na prowincyi 72 ct. miesięcznie.

Głosy publiczności.

W dalszym ciągu raczyli nadesłać ofiary na kaplicę polską w bazylice św. Antoniego w Padwie następujące WW. PP.: N. N. w Padwie 10 złr. Szlewkier z Warszawy 25 lir, M. Łęska z Wilna 100 lir, Antoni Neusser z Pogwizdów 4 złr., Walewska z Warszawy 5 lir, Ks. J. Łukaszkiewicz (20 mszy) 20 lir, Dzieduszycki z Jasionowa 20 lir, N. N. z Warszawy 100 rubli, za pośrednictwem Maryi Błażejczyk z Poznańskiego 17 m., J. Klimczak z Żywca 2 złr., Wanda i Adam bar. Horoch z Winniczek 5 złr., Br. Wrzosowska z Deczowa 4 złr., N. N. 115 rubli, za pośrednictwem ks. M. Sobolewskiego ze Lwowa 7 złr. 20 ct., J. E. najprzewielebniejszy ks. biskup Solecki (50 mszy) 100 lir nadto kurendą z dnia 3 czerwca raczył dobrotliwie zachęcić wiernych i duchowieństwo do składek na powyższy cel, Wiktor Plater 30 lir, Ks. Gabryel Czerwiński z Sandomierza 10 lir, Ks. Stanisław Lenartowicz z Sandomierza 3 lir, M. Stamary z Krakowa 2 złr., „G. dała“ 50 złr, Bolesław Rusiecki z Wilna 25 rubli, X. W. F. z Wilna 100 rubli, N. N. 65 lir, J. Dolińska z Wilna 26 rubli, Antoni Śliwiński z Rakozowy 1 złr., Ks. Fr. Koł. z Wilna 2 lir, Kopalnia polska nafty w Węglówce 10 złr., O. Izydor Nicolini z Padwy 5 lir, Ks. W. Zielińskí z Parzęczewa 24 fr., za pośrednictwem p. Malwiny Lityńskiej ze Lwowa 35 złr., od O. Gw. Benigyusza Chmury z Przemyśla 30 złr., Kazimierz Szenic z Glatzu 2 m., J. E. najprzew. ks. biskup Łobos z Tarnowa 20 złr. — z odprawionych przez Przewielebne Duchowieństwo dyecezyi tarnowskiej na łaskawe polecenie JE. ks. Biskupa, 410 mszy, wpłynęło do kasy 785 lir, M. Łęska 9 rubli, E. Olszewska z Dubic 10 złr., M. Kwilecka z Oporowa 10 m. w złocie, M. Lewandowska z Reklińca 5 zł. Ks. Wojciech Stachyrak z Przemyśla 10 mszy: 20 lir, Ks. Józef Stachyrak, kanonik kapituły przemyskiej 10 mszy: 20 lir.

Składając najserdeczniejsze „Bóg zapłać“ wszystkim dotychczasowym ofiarodawcom, upraszam jak najgoręcej rodaków, miłośników pamiątek polskich i pobożnych wszystkich o dalsze łaskawe datki na powyższy cel. Z d. 25 sierpnia kończy się termin do przedłożenia projektów na wymalowanie kaplicy. Można się spodziewać, że ze czterech artystów-malarzy polskich, którzy raczyli przystąpić do konkursu, przecież któregoś plan uznany zostanie za godny. Gdyby więc pieniądze były gotowe, po zatwierdzeniu planu przez władze włoskie, autor projektu mógłby zaraz przystąpić do pracy.

Rozpisując konkurs z polecenia tutejszej komisyi, byłem w mniemaniu, że tymczasem rodacy złożą się na brakującą jeszcze kwotę, która zależy od projektu, a projekt od sumy gotowej. Im większe bowiem będą zasoby, tem i plan może być bogatszym w ozdoby. Inaczej artysta będzie musiał ograniczyć się li tylko do konieczności.

Otóż jeszcze raz ponawiam moją prośbę do rodaków. Rozchodzi się przecież nie o sam kościół św. Antoniego, jak to niektórzy błędnie sądzą, ten tylko przypadkowo zyskuje, lecz o pamiątki polskie, o ołtarz św. patrona Polski. Wchodzi więc w tę sprawę honor Polaków. Bazylikę św. Antoniego zwiedza cały świat. Nie byłoby więc zaszczytem dla nas, gdybyśmy dozwolili wynieść tyle pomników z naw bazyliki gdzieś na krużganki, wysunąć ołtarz polski, postawiony tu przez młodzież polską, lub gdyby kaplica polska była najuboższą z pomiędzy kaplic innych narodów. Znana powszechnie wielka pobożność polska, również ucierpiałaby, gdyby kaplica nie odpowiadała jej. Każdy z obcych mógłby posądzić Polaków o zaniedbanie swoich świętych, o lekceważenie pamiątek po sławnych mężach Polski. Obecnie nie idzie już o wielkie sumy. Dzięki pomocy św. Antoniego, jest już na powyższy cel większa połowa pieniędzy. Jeszczeby od biedy jakie dwa tysiące złr., a wtedy musiałoby się jakoś zaradzić. Artysta, jak mam nadzieję, będzie Polak, więc i on sam nie będzie baczył na zysk, lecz zadowolni się niezbędnem wynagrodzeniem, czyniąc z reszty ofiarę. Wątpię bowiem, by znalazł się który, coby zechciał podjąć się tego dzieła li tylko z czystej miłości. Polecam więc kochanym rodakom tę sprawę, i mam nadzieję, że teraz każdy z nich zajmie się nią żywo i gorąco, za co sam Pan Bóg wynagrodzi im stokrotnie.

Padova al Santo 29/7 1897.

Ks. Jan Warchał, spowiednik polski.

SPORT.

Warszawa, 2 sierpnia.

Wczoraj odbyły się drugie tegoroczne regaty towarzystwa wioślarskiego. Uczestniczyły w nich tym razem także osady wioślarskie z Krakowa, Halicza i Włocławka. Pogoda i wysoki stan wody, oraz tłumy spektatorów uświetniły zapasy.

Zwycięzcą w pierwszym biegu (kajaki — 1,000 metrów) był p. Adam Kryński.

W drugim biegu (skulingi — 1,000 metrów) odniósł zwycięstwo p. Teodor Morawski.

Trzeci bieg (2,000 metrów) budził wielkie zaciekawienie, zmierzyć się bowiem miały załogi krakowska i warszawska; pierwsza była pod sterem p. Józefa Rudnickiego, druga — p. M. Erlicha. Start był przy Saskiej Kępie. Z początku obydwa „biegi“ szły równo, wiosłując przewybornie. Ogólnie przepowiadano zwycięstwo Krakowowi, który przysłał rzeczywiście bardzo dzielnych wioślarzy i wybornych sterników. Przyznać zaś trzeba, iż wioślarzom krakowskim pod względem sportowym nic zarzucić nie można, gdyż wiosłowali wytrwale, silnie i równo, wykazując dobrą szkołę. Jednakże po przepłynięciu 1.500 metrów szczęście opuściło Krakowiaków. Łódź Warszawiaków wysunęła się naprzód i minęła celownik w minut 6 sekund 40, wyprzedziwszy łódź drugą o dwie długości. Hucznymi oklaskami powitano zwycięzców, którymi byli pp. St. Kamiński, T. Teodoziński, L. Zbyszyński, W. Lachert.

W następnym biegu na ośmiowiosłówkach zmierzyły się dwie osady warszawskie pod sterem pp. M. Strasburgera i St. Olszewskiego, z których pierwszy zwyciężył, pobiwszy przeciwników o kilka łodzi. Osadę składali pp. St. Markowski, M. Brunner, E. Somczyński, Lesisz, Tietz, Z. Samczyński i Sierzputowski.

Do czwartego biegu „race-bootów“ stanęła tylko jedna łódź pod sterem p. Wilkońskiego z osadą, złożoną z pp. Blizińskiego, Anteckiego, Smyjewskiego i Sierawskiego. Przebiegłszy metę w tempie regatowem, łódź otrzymała nagrodę.

Piąty wyścig warszawsko-krakowski na „pairuarach“ odłożono z uwagi na lekkie zmęczenie krakowskiej załogi. Zamiast niego puściły się dwie sześciowiosłówki: włocławska pod sterem p. Modzyńskiego i warszawska — p St. Zawadzkiego. Zwyciężyła osada włocławska (pp. Janiszkiewicz, Górnikiewicz, F. Zalewski, Kistowski, Szałowski i Krodkiewicz) wśród hucznych oklasków.

Siódmy wyścig warszawsko-kaliski także na sześciowiosłówkach skończył się zwycięstwem załogi warszawskiej.

Zakończył regaty wyścig „pairuarów“ między załogami krakowską i warszawską, która odniosła zwycięstwo, wyprzedziwszy załogę krakowską zaledwie o długość jednej łodzi.

Rozdanie nagród zamknęło właściwą uroczystość sportową. Dopełniły go panie. Zwycięzców oklaskiwano z zapałem; gorąco również przyjmowano osady krakowskie, którym wręczono pamiątkowe kubki srebrne ze znakiem Towarzystwa.

Wieczorem o godzinie 10. siadło do wspólnej biesiady około dwustu panów, Długi szereg przemówień rozpoczął serdecznem słowem wiceprezes komitetu p. Matecki. Po nim toastowało wielu, a przedstawiciel Towarzystwa krakowskiego p. Józef Rudnicki wręczył p. Mateckiemu w imieniu swego Towarzystwa dla warszawskiego Towarzystwa pięknie wykonane wiosło. Zebranie o charakterze serdecznym, przeciągnęło się późno w noc.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 3 sierpnia.

(Z.) Oświadczenie złożone przez Salisbury'ego w angielskiej izbie lordów co do stanu rokowań pokojowych nie zadowoliło sfer finansowych. Wnoszą one bowiem z niego, że zawarcie pokoju nie jest jeszcze tak bliskiem jakby się zdawało. Także pogłoski rozpuszczone z Aten o wrzekomej groźbie króla Jerzego, iż raczej złoży koronę, aniżeli zgodzi się na kontrolę mocarstw, zwiększyły szeregi niezadowolonych. Mimo tej dość niepomyślnej konstelacyi politycznej, wytworzył się w drugiem stadyum obrotów giełdowych dość intensywny prąd zwyżkowy. Wywołało go zaś kilka wielkich firm peszteńskich, które ostatnimi dniami operowały wyłącznie w zbożu, a dziś przeniosły pole swej działalności na targ pieniężny. Skorzystały z tego głównie akcye banków węgierskich, tudzież akcye kopalni węgla. Losy tureckie sprzedawano zarówno tu jak i w Paryżu, a cena ich obniżyła się.

Z Londynu donoszą, że formalną gorączkę spekulacyjną wywołała tam wiadomość o odkryciu pokładów złota w Kanadzie. Utworzyło się już towarzystwo, które urządza ekspedycyę do Kanady celem zakupienia znacznych terenów i zarządzenia poszukiwań.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 369·75, węgierskie 401.—, Anglobanki 161·75, Uniony 299·55, Bankvereiny 259·50, Länderbanki 239·75, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 283·50, Elbethale 258·50, Renta papierowa 102·10, srebrna 102·20, austryacka złota 123·30, austr. renta wal. kor. 101·35, węgierska złota 122·60, węgierska renta wal. kor. 100·20, dukat 5·63, 20-frankówka 9·51½, marki 11·73 —, ruble 1·26¾.

Cena zboża. Wiedeń 3 sierpnia. Pszenica na jesień 11·19—11·26, na wiosnę 11·20—11·24, żyto 8·77—8·85, owies 6·36, kukurudza 5·01—5·12, rzepak 13·80—13·90.

Wczoraj podskoczyła w Wiedniu cena pszenicy do 11·50, owsa do 6·44, kukurudzy do 5·17, rzepaku do 14.

Sprawozdanie banku rolniczego. Lwów 5 sieprnia 1897.

Tendencya zwyżkowa. Ceny ciągle idą w górę.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 10·— do 10·25, nowa 0·— do 0·—, żyto gotowe 7·25 do 7·50, żyto nowe 0 — do 0·—, owies obroczny 6·70 do 6·90, Jęczmień 5·50 do 6·—, rzepak nowy 11·50 do 12.—, lnianka 0·— do 0·—, groch 6·50 do 8·—, wyka 4·80 do 5·—, bobik 4·90 do 5·—, hreczka 7·50 do 8·—, kukurudza 5·80 do 6·—, chmiel nowy za 56 kl 60·— do 70·—, koniczyna czerwona —·— do —·—, koniczyna biała —·— do —·—, koniczyna szwedzka —·— do —·—, tymotka —·— do —·—, spirytus loco stacye kolei gotowy 15·50 do 16·—, spirytus na termina 15·— do 15·50.

§ **Z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 3 sierpnia.

Haussa, jaka od kilku tygodni na targach zbożowych zapanowała, utrzymuje się bez przerwy, a ceny zboża z dnia na dzień znacznie się podnoszą, tak, że od piątku w zeszłym tygodniu pszenica około 80 centów, żyto o 1 zł 20 centów poszły w górę. Wysokie ceny dałoby się również uzyskać za jęczmień browarny, który jednak wcale się nie pojawia. Powodem niezwykłej zwyżki jest z jednej strony zupełny brak zapasów, zdrugiej niepomyślny stan tegorocznych zbiorów, który w ostatnim czasie skutkiem ciągłych deszczów dalszego doznał pogorszenia. Za granicą ceny zboża nie podnoszą się wprawdzie tak szybko, jak w Austro-Węgrzech, wszędzie jednak tendencya jest bardzo mocna, gdyż klęski, spowodowane słotą, nie są lokalne, gdyż rozciągają się na całą prawie Europę, a dowozy zarówno z Rosyi, jak z Ameryki są chwilowo bardzo szczupłe.

Płacono: pszenicę białą 10·80—11·20, czerwoną 10·90—11·40, żółtą 10·90—11·40; żyto 9·00—9·40, jęczmień browarny 0.00—0·00, na paszę 6·00—6·25, owies 7·00—7·60; rzepak 12.— do 12·50, konicz, czerwony —.— do —.—, biały —.— do —.— zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy Przeglądu.

Konstantynopol 5 sierpnia. Na wniosek reprezentantów Turcyi zredagowano na nowo artykuł 6 traktatu pokojowego i dodano artykuł 12-ty. Dziś zastanawiać się będzie rada ministrów nad tem, czy dodać jeszcze artykuł 13-ty, jeżeli zapadnie decyzya w tej mierze, w takim razie jutro odbędzie się konferencya ambasadorów i reprezentantów Turcyi.

Londyn 5 sierpnia. Do „Biura Reutera“ donoszą z Kanei, że komendanci wojsk międzynarodowych poczynili rozmaite zarządzenia na wypadek wybuchu nowych zawikłań. Na wiadomość, że flota turecka płynie ze Smyrny do Krety, wzmocniły eskadry europejskie swe pogotowie.

Berlin 5 sierpnia. Dzienniki tutejsze otrzymały z Kremeńczuga depeszę, że woda uniosła tamtejszy zakład kąpielowy na Dnieprze w chwili, gdy kąpało się w nim przeszło 400 kobiet. Dwieście z nich utonęło.

Paryż 5 sierpnia. Do „Ajencyi Havasa“ donoszą z Kanei, że admirałowie, przewidując przybycie floty tureckiej na wybrzeża kreteńskie, rozstawili pancerniki w portach: Sitia, Suda, Hierapetra i Rhetymno. Austryackie pancerniki zajęły stanowisko w Kastelli.

Konstantynopol 5 sierpnia. W sprawie wypłynięcia floty tureckiej na morze Śródziemne zażądali ambasadorowie wyjaśnień.

Z odpowiedzi, jaką dała Porta, wnosić należy, iż flota ta nie pojawi się na wodach kreteńskich.

HOTEL IMPERIAL.

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 5 sierpnia. Wit. hr. Starzeński z Nizzy. Ludwik hr. Dębicki z Jaworowa St. Pniewski z Krakowa. S. Unger z Krakowa. Marya i Józefa Wójcikiewicz z Wołostkowa. Emil Korczak Michalewski z rodziną z Stanisławowa. Adam Niewiadomski z Charkowa. M. Chomińska z Wykot.

HOTEL FRANCUSKI

we Lwowie, plac Maryacki

W nowym Zarządzie, zupełnie odnowiony

(F. C. Proksch)

Przyjechali dnia 5 sierpnia Dr. Szczęsny Sokołowski z Żytomierza (Wołyń). Kapitan Suberle z Brodów. W. Jaruntowski z Załanowa. L. Dąbski z Dębowca. S. Kędzierski z Mereszczowa, J. Hirsch, H. Ziska, K. Scholz i K. Fleischer z Wiednia. Dr. Fr. Rauch, adwokat z Sambora. F. Michalewicz z Podola ros. K. Zabłodzcy z Żółkwi. F. Zigiasch z Morawy. K. Węgrzynowski z Berlina. D. A. Dobrański z Krakowa. F. Poznański z Tarnowa. K. Janiszewski z Nowego Sącza. Z. Święcicki z Brodów.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 5 sierpnia. (Z Izby handlowej)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215.50 do 218.50. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 283 — do 287.—. Banku hypotecznego po 200 zł w. a. 380 — do 390.—. Akc garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.— Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem 110.20 do 110 90. 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— do 100.70 4 pr los. w 60 lat 96.70 do 97 40. Banku kraj. 4 i pół proc los w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los 57 lat 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97·6 do 98.30. 4 proc. los. w 56 lat 97.20 do 97.90.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9 47 do 9.57. Półimperyał 9.50 do 9.60 Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27 100 marek niemieckich 58.45 do 58.90.

Wiedeń 4 sierpnia. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 369·25, węgierskie akcye kredytowe 405.25, anglobanku 162·25, związku bankow. 261.50, unionbanku 304.00, länderbanku 240.50, kolei państwowych 345·25, lombardów 84·50, kolei nadłabskiej 259.00, akcye tytoniowe 161.50, rima 269·00, alpiny 142·20, renta majowa 102·15, renta koronowa węgierska 100.25, losy tureckie 64.75, marki 58·70, ruble 126.—.

43)

KTO WINIEN?

Powieść
przez
E. BRADDON.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Rozumiem — posępnie odparł Morton. — Ja się za nic nie liczę tam, gdzie w grę wchodzi twój ojciec. A czy wolno mi będzie przynajmniej powrócić wieczorem?

— O, naturalnie, mój kochany. Papa wypocznie z drogi do tej pory i będzie bardzo rad widzieć ciebie.

— Nie dałbym głowy za to; ale jeżeli ty będziesz rada, to mi wystarczy.

Pożegnali się serdecznie i rozstali, a Izia pobiegła do swoich domowych zajęć, licznych, choć nie uciążliwych.

Nasamprzód spustoszyła wszystkie cieplarnie, aby przystroić pokoje ojca barwnymi kwiatami, któreby go mile powitały z drogi; potem wydała bardzo staranne rozporządzenie co do wina, które należało przynieść z piwnicy.

— Ojciec mój będzie pewnie bardzo zmęczony z podróży — rzekła. — Trzeba mu będzie podać coś wyjątkowo dobrego i bardzo orzeźwiającego.

Załatwiwszy się z gospodarskiemi czynnościami, zaczęła rozmyślać, czemby zapełnić resztę czasu, którego pozostało wiele, a który jej się wydawał nieskończenie długim z przyczyny gorączkowego wyczekiwania, sprawiającego, że co chwila biegła nadsłuchiwać, czy nie usłyszy turkotu kół na przymarzłej drodze. Chwilami siadała do fortepianu z mocnem postanowieniem ćwiczenia się przez kilka godzin jednym ciągiem; ale w środku rozmarzonego nokturnu myśli jej odrywały się i biegły daleko, a białe ręce opadały na klawisze; zrywała się i stawała w oknie, wyglądając przez faliste wzgórza i łany na daleki punkt w lesie, gdzie przez wycięcie drzewa widać było wijącą się kręto wstęgę gościńca.

— Ciekawam, co skłoniło papę wyjechać tak nagle do miasta? — rozmyślała w duchu po raz setny. — I dlaczego nie powiedział mi, jaki to był ten pilny interes?

Długi dzień dowlókł się nareszcie do końca, nastała szara godzina; ustawiono małe stoliczki herbaciane przed kominkiem, i w chwili właśnie, gdy Izia zaczęła popłakiwać na myśl, że ta najmilsza pora dnia traci dla niej cały swój urok skutkiem nieobecności ojca, upragniony turkot kół dał się nareszcie słyszeć w szpalerze i uradowane dziewczę z obnażoną głową i wyciągniętemi ramiony wybiegło przed dom, aby powitać podróżnego.

Stangret na widok jasnej główki z rozwianym włosem zatrzymał konie, a sir Everard wysiadł z powozu przy bramie wjazdowej i uściskawszy czule garnącą się do niego miłośnie córkę, wziął jej ramię. Skierowali się razem ku dworowi.

W oświetleniu dużej lampy, zawieszonej u sufitu halli, Izia spostrzegła, że ojciec był bardzo mizerny.

— Drogi papo, jakiż ty się wydajesz zmęczony! — szepnęła zasmucona.

— Tak, jestem zmęczony fizycznie i moralnie — przyznał sir Everard.

— Chodź, najdroższy ojcze, do twego ulubionego gniazdka przy kominku, i pozwól, że ci naleję gorącej i mocnej herbaty.

— Ach, żeby to pomogło, Iziu! — westchnął ojciec. — Oby ta twoja herbata przyrządzona była na letejskiej wodzie, któraby nam dała wieczne zapomnienie o wszystkiem!

Rozmawiając, weszli do pokoju i Izia pomagała ojcu zdjąć podróżne futro.

— Drogi papo — rzekła — przecieżbyś nie chciał zapomnieć o wszystkiem?

— O wszystkiem, Iziu, aby móc zapomnieć o jednej rzeczy — znużonym głosem odparł sir Everard. — Ale nie, — dodał po chwili nieco weselszym tonem. — Nie chciałbym zapomnieć o mojej ukochanej córeczce i o jej dobroci dla mnie.

— O mojej dobroci? — powtórzyła Izia. — Powiedz raczej o mojej wdzięczności dla ciebie, drogi papo... A teraz opowiedz mi o tym interesie w Londynie. Czy to była bardzo nudna sprawa?

— Gorzej niż nudna, Iziu — odparł poważnie. — Obawiam się, że sprawa ta połączona będzie z pewną przykrością dla ciebie, ukochanie moje.. Ale o tem potem. Teraz nalej mi proszę, herbaty i opowiedz, coś robiła w mojej nieobecności?...

Izia zaczęła się żywo krzątać przy srebrnym samowarze, zdając jednocześnie sprawę z tego, co zaszło podczas dnia.

— Nie wiedziałam, że Morton i lady Frances Grange są takimi przyjaciółmi — rzekła, opowiedziawszy mu o improwizowanych tańcach w Tangley Manorze.

— Ani ja również aż do niedawna — odparł sir Everard.

— Czy papa nie znajduje jej śliczną? — spytała zamyślona.

— Nie tyle śliczną, co dystyngowaną. Jest w niej coś oryginalnego. Jakaś niezwykła naturalność, połączona ze śmiałością, która jej dodaje bardzo wiele uroku. Pojmuję doskonale, że młodzież może szaleć za nią. Dziwię się nawet, że dotąd jeszcze nie wyszła za mąż.

— Nieprawda, papo? — przyświadczyła Izia, wzdychając bezwiednie z cicha. — A może ktoś jej się bardzo podoba, a ten nie dba o nią?

— To być może. Kwestya tego rodzaju zostawia zawsze szerokie pole do różnych domysłów.

— A teraz wróćmy, drogi papo, do tej sprawy w Londynie. W czemże może ona mnie dotykać? Cóż takiego mogłoby mi sprawić przykrość, coby nie było w związku z tobą? A że tak nie jest...

— Niestety! moja najdroższa, właśnie, że tak jest. Sprawa ta dotyczy mnie.

Iza pobladła nieco, wpatrując się badawczo w ojca.

— Zapewne chodzi o jakieś pieniężne straty — rzekła. — Musiało cię spotkać jakieś materyalne niepowodzenie, papo. Zubożeliśmy, nieprawdaż? O! mój najdroższy, to jeszcze nie uczyni mnie nieszczęśliwą. Póki mam ciebie i mogę ci być pociechą; to starczy mi za wszystkie skarby na świecie.

— Nie, Iziu. Tu nie chodzi o materyalne straty. To moglibyśmy przenieść. Nie w tem rzecz...

— Więc w czem; papo?

Uklękła przy fotelu, cisnąc obie jego rozgorączkowane dłonie. Blask ognia igrał po jej bladej, niespokojnej twarzyczce i złote iskry zapalał w głębi wilgotnych, niebieskich oczu.

— Moja najmilsza — rzekł ojciec — wiesz, że od pewnego czasu byłem jakiś niezdrów, choć nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi...

Blade policzki stały się naraz sinemi, światło zagasło w rozszerzonych nagłem przerażeniem oczach córki.

— Ojcze!.. ojcze!.. — rozpacznem łkaniem wydobyło się z jej piersi.

— Już oddawna — ciągnął dalej sir Everard — tak, już od trzech lat, czułem, że zdrowie moje i siły zaczynają niedopisywać. Straciłem ochotę do czynnego życia i każdy ruch mnie męczył. Wiedziałem, że coś popsuło się w moim organizmie i że powinienem zasięgnąć porady lekarskiej.

— Tak — szepnęła Izia bez tchu, nie spuszczając oczu z twarzy ojca.

— Otóż parę dni temu ponowił się mój chroniczny atak bólu w boku. Był on silniejszy niż zwykle, więc powiedziałem sobie, że nadeszła pora stawić czoło temu, co z wyroków wyższych jest nieuniknione. Postanowiłem dowiedzieć się prawdy.

— Ojcze!

Krzyk ten mimowiednie wydarł się z ust jej drżących. Z wyciągniętemi naprzód ramiony cofnęła się trwożnie w tył jakby przed strasznem jakiemś nieszczęściem, którego blade widmo, pełne nieopisanej grozy, zbliżało się ku niej powoli, przygniatając ją i miażdżąc w proch całym swoim ciężarem. Wiedziała co ją czeka, a niezdolną była uchylić się przed wyrokiem okrutnego przeznaczenia.

— Moje dziecko, każdego to z nas czeka kiedyś — łagodnie rzekł ojciec. — Ta sama ciemna noc pochłonie nas wszystkich i ta sama ścieżka wiedzie nas do kresu. W najgorszym razie, to tylko śmierć... dziecko, nie patrz na mnie temi błędnemi oczyma... Koniec mój może się zbliżać powoli... stopniowo. Może lata jeszcze danem nam będzie spędzić razem z sobą.

— Ojcze, powiedz mi otwarcie. Widziałeś się z doktorem w Londynie?

— Tak jest. Z jedną z największych powag naukowych.

— I powiedział ci, że masz jaką wadę organiczną?

— Potwierdził tylko moje własne przypuszczenia. Serce i płuca są zarówno zaatakowane i to już oddawna. Nie mogę żyć długo, ale mogę jednakże przedłużyć nitkę mojego żywota, jeżeli będę bardzo ostrożnym.

— Będziemy więc ostrożni — zawołała Izia. — Będę cię tak pielęgnowała, drogi ojczulku, że gdy za parę miesięcy pokażesz się na nowo twemu doktorowi, to znajdzie, że choroba ustąpiła zupełnie i że wyleczyła cię miłość twojej córki. Cóż więc mamy robić? Co ci przepisano? Mów!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółki Hotel Zorża. Zarządca W. Hodak.